

Mieszkałem przed wojną w Żółtkach. Do organizacji, jeszcze za Niemców to wciągnął mnie Szafranski Marian "Zajac". On był i u "Burego" i u "Gryfa". Jego ojciec to mój chrzestny a mój ojciec to jego chrzestny. "Zajaca" rozstrzelali w 1946 r. na terenie koszar KBW na Bena. Z Choroszcy był u "Burego" Roszkowski (Raczkowski?) Stanisław "Lis".

Gdy wróciłem do domu 9 maja 1945 r. z robót w Prusach to siostra jeszcze z Prus nie wróciła. Wywieźli nas na roboty razem tego samego dnia. ~~W domu wszystko było w porządku.~~ W Choroszcy już stała sowiecka jednostka wojskowa, już wszędzie ich było pełno, bo wracali z Niemiec. Cały szpital był zajęty przez wojsko. W szpitalu tym Niemcy urządzili obóz dla jeńców. Potrzebne magazyny tam mieli.

Oczywiście zaraz skontaktowałem się z "Zajacem", który był moim najbliższym kolegą, gdyż wychowywaliśmy się, jak to mówią, od kołyski. Był już u "Burego". Ja też chciałem iść do oddziału i czekałem kiedy nadarzy się okazja. Gdy więc chłopaki z "Burego" przyjechali do swojej wsi po amunicję a przy okazji, żeby wpaść do domu, byli to: "Zajac", "Lot", chyba "Orzech" i "Ster". ~~Wszystko było w porządku.~~ Gdy więc chłopaki zajechali do swojej wsi to zawiadomili mnie. Wieczorem poszedłem więc do kryjówki, z której wyciągnąłem Pepeszę, i poszedłem do Dzikich do Mariana. Jako członek NZW podlegałem "Gryfowi" dowódcy kompanii. On wszystkich nas wysłał do "Burego" na przeszkolenie. Mama oczywiście zdziwiła się trochę, że ja w Wigilię wychodzę z domu: Wigilię nie zjesz? - No jak trzeba to trzeba, nie?

Oczywiście byłem w cywilu. Zresztą w oddziale w tym czasie to mało kto był umundurowany. Niektórzy byli w rogatywkach. Z Dzikich pojechaliśmy do Zajk. Tam była Wigilia. Gdy zbliżaliś-

my się do wsi zatrzymał nas wartownik. Chłopaki znali hasło, więc spokojnie pojechaliśmy dalej. We wsi zameldowaliśmy się u "Rekina" i od razu przydzielony zostałem do drużyny "Ładunka". Cała wieś była zajęta przez oddział. * Drużyny rozrzucone były po domach, po jednej na gospodarza. Wigilia była normalna. Trochę ryby, trochę kołęd. "Burego" nie było, bo pojechał na odprawę i wszyscy czekali na niego. "Rekin" wszystkich odwiedzi i złożył życzenia: No to wszystkiego najlepszego, Daj Boże za rok. Nie martwcie się chłopcy, styczeń, luty, maj maj - to jego takie powiedzonko.

Na pasterkę pojechaliśmy do Trzciannego. Jechaliśmy m.in. przez Bajki. Chyba w Bajkach właśnie, czy może tuż pod Trzciannem, ze trzy drużyny zostały na obstawie a reszta pojechała do Trzciannego na mszę. Było nas dobrze ponad 50-ciu. Ja byłem wtedy na obstawie. Pobyliśmy parę godzin na kwaterach czekając na resztę oddziału. Gdy nadjechaliśmy ruszyliśmy w drogę powrotną. Zajechaliśmy do Łazi czy coś takiego (po proszek DDT - J.K.) tam "Rekin" w ~~xxx~~ ^{majątku} herbatę ~~wypix~~ z innymi popijał sobie. Ich ^{do} wszy gryzły ale po kilku dniach i mnie zaczęły się dobierać, bo to razem się spało przecież. Cholera, toż ja taki elegancki amerykański sweter miałem, to go gdzieś na wsi musiałem zostawić, pod łóżko ukradkiem wsunąłem, bo wełniany był a takiego wszy trzymały się jak diabli. I wrzody mnie opanowały, ale to już było po Hajnówce. Na karku takie wrzody miałem ze strach.

Ze Trzciannego wróciliśmy do Zajk. To był jedyny wypadek, że oddział kwaterował dwa razy pod rząd w tej samej wsi. "Burego" nadal nie było w oddziale. "Rekin" dowodził. Stamtąd poszliśmy pod Sokoły. Po drodze jeszcze przeszliśmy ćwiczenia w terenie przygotowując się do akcji.

Moja drużyna liczyła 10-ciu ludzi. Pamiętam, że jeszcze przed

Sokołami pojechaliśmy całą drużyną w patrol. To był dzień i w samolot latał nad nami. Pamiętam, że robiliśmy rewizję u jakiegoś winowca. Szukaliśmy papierów jakichś czy coś takiego. Mieszkał na kolonii między Targoniami i Hermanami. . Gdy wracaliśmy to ten samolot dalej latał to musieliśmy się po drzewach chować. Wtedy to kilka drużyn było w teren wysłanych

Nie przypominam sobie, żeby komendant okręgu odwiedzał nas w czasie świąt. Czekaliśmy na "Burego" dobrych dni. Zjawił się dopiero po Sokołach, tak że o akcji na Sokołach to "Rekin" zdecydował sam. W czasie akcji moja drużyna była na obstawie. Rozłożyliśmy się wzdłuż toru kolejowego. Słyszeliśmy strzelaninę, widać było kilka rakiet, aż w końcu usłyszeliśmy wystrzał z pancerfausta i strzelanina ucichła. Nikt tam jednak nie zginął ani nie został ranny. Wtedy tej broni sporo przywieźli na furach. Wybierajcie chłopcy sobie - powiedział do nas "Ładunek". Wybrałem sobie taką elegancką pepeszą nowiutką z ~~xxxx~~ ciemną kolbą. Przeważnie zresztą tam były pepeszaki, kb "Mosiny" i "Diegtiarowy".

Jak tylko przyszedłem do drużyny "Ładunka", to dowódca dał mi nosić erkaem ale za słaby byłem do niego. I tak dwa tygodnie go nosiłem., aż w końcu powiedziałem: Nie, mnie to za ciężko. Wtedy dostałem pepeszę. Moim amunicyjnym był chłopak z Brańska, ale nie mogę przypomnieć sobie jego pseudonimu.

Początkowo uzbrojenie było takie sobie, ale po Sokołach trzy erkaemy na drużynę były, a na początku to było po jednym erkaemie na drużynę. Akcja w Sokołach trwała nie dłużej niż godzinę czasu. Naszym zadaniem było zatrzymanie jakiegokolwiek pociągu, który by nadjechał, chociaż w tym czasie jaki tam pociąg mógł być na tej trasie. Nic tam jeszcze nie jeździło. Ta zdobyta broń była na kilku furach. Gdy obskoczyliśmy je żeby wybrać sobie najlepszą broń, to niedługo potem zabroniono nam wymieniać broń

tak, że może nie wszyscy zdążyli.

Kilka dni później były Hermany. Przyjechaliśmy do tej wsi nad ranem i rozłożyliśmy się na kwaterach. W biały dzień, gdy już wypaliły się, nagle alarm. Wartownik zameldował, że od stroby Tykocina jedzie sznur furmanek z wojskiem. Wybiegliśmy ze wsi w stronę nadjeżdżającego wojska, rozrzuciliśmy się w tyralierę po obu stronach drogi, otoczyliśmy ich i wzięliśmy do niewoli bez jednego strzału. Było dwóch poruczników z nimi i jednego w olszynie rozwalili, bo - jak mówino - wydawał rozkaz żeby ogień otworzyć, a drugi porucznik nie zgodził się na to i tym życie tym sobie uratował. Chyba wtedy dołączyło do nas kilkunastu żołnierzy, m.in. "Krakus". W Hermanach "Burego" też nie było.

Pod ~~Ważnikami~~ ^{jakaś wsią} zatrzymaliśmy samochody. Jak się okazało wiozły śledzie. W tej akcji udziału nie brałem. Jak samochody te przyjechały do nas to poznałem kierowcę, bo jeszcze jak maju wróciłem do domu z Prus to on jeździł w wojsku jako kierowca. Przyłączył się do nas i obrał sobie pseudonim "Huragan". Na tę akcję poszedł jeden albo dwa plutony.

Brałem natomiast udział w zatrzymaniu samochodów pod Dównarami. To było jeszcze przed Hermanami. Zasadzkę zrobiliśmy na szosie. Rozłożyliśmy się wzdłuż szosy, po obu jej stronach tyralierą. Z jednej strony był omentarz a z drugiej lasek. Zatrzymaliśmy jeden samochód. Był w nim kapitan i kilku żołnierzy. I ten kapitan rzucił się do "Rekina": Jak to porucznik do mnie się odnosi. - To był kapitan z Elku. Wtedy "rekin" pociągnął po nim serię z pepeszy. Wrzucili go na ciężarówkę. "Huragan", ten kierowca, obejrzał się się i powiedział: O cholera, nawet nie zrewidowali go - i sięgnął mu do kieszeni, z której wystawała Tetetka. Cicho - mrugnął do mnie i schował sobie za pasek. Zakładowali się wszyscy do samochodu, podjechaliśmy parę kilometrów

i zostawiliśmy w diabły. To był Studebaker i jeszcze mały Dodge. Jechaliśmy szosą na Grajewo. Downary są koło Goniądza, za Mońkami. Byłem wtedy przy samochodzie, gdy "Rekin" zatrzymywał go słyszałem więc jego rozmowę z kapitanem. "Rekin" był w mundurze. Uzbrojony był w rosyjski PPS, czyli jak go nazywaliśmy "żelazniak". Miał podłużny magazynek w kształcie rożka. "Rekin!" jeszcze się dziwił: Ale seria, tylko trzy sztuk - czyli, że tak dobrze strzelał. I stamtąd poszliśmy na Bielsk Podlaski. Szliśmy koło Tykocina na Targonie, Sikory. Potem nad Nurcem jechaliśmy spory kawałek i potem koło Brańska na Hajnówkę. Po drodze nie było żadnych akcji. Był rozkaz, żeby mówić do siebie tylko po imieniu, nie używać pseudonimów. Mieliśmy udawać w ten sposób KBW.

Gdy dojeżdżaliśmy do Hajnówki było już ciemno. Na słupach paliły się światła. Podzieliliśmy się na grupy, które miały iść poszły na dworzec kolejowy, łaźnie i posterunek. Na dworcu był chyba "Rekin", natomiast moja drużyna "Ładunka" obstawiała łaźnię, ale zaraz przyszedł "Bury" i wziął ze sobą mnie, "Ładunka" i jeszcze kogoś i poszliśmy do gospodyni, u której on kwatrował, gdy był jeszcze dowódcą kompanii ochrony lasu. Gdy zaszedliśmy to kobieta - fajna pani, przystojna - poczęstowała nas herbatą. Chyba czegoś szukał, albo zabierał ze sobą, bo gospodyni pytała się go: A to, może to jeszcze potrzeba? - bo przecierz wszystkie swoje rzeczy zostawił jak poszedł ze swym oddziałem do lasu. Pijąc herbatę słyszeliśmy od czasu do czasu serie z broni maszynowej. Nie zginął wtedy jednak żaden rosyjski żołnierz. Dopiero z łaźni wzięli jednego kapitana sowieckiego do niewoli. Gdy wróciliśmy z "Burem" to już było akcji. Oddział wycofywał się. Chłopaki prowadzili sowieckiego kapitana. Mieliśmy też dwa psy. Jeden taki wilczur, fajny owczarek, przybłąkał

ssię do nas. To nawieszali na niego tych sowieckich medali do cholery i trochę.

Już w puszczy "Bury" kazał wyprowadzić w głąb lasu tego sowieckiego oficera i zlikwidować. ~~xxxx~~ "Paw" przychodzi po chwili i mówi, że sowiec uciekł mu, bo karabin mu się zaciął. No to "Bury" dał mu wtedy opieprz.

W akcji na Hajnówkę brał już udział "Bitny" ze swym oddziałem. Tak, że nas już sporo ludzi było. Po wyjściu z Hajnówki zatrzymaliśmy się na nocleg w pierwszej napotkanej wsi.

"Bitny" to był zrównoważony gość, ~~na~~ ~~mi~~ ~~wet~~ flegmatyk troszeczkę. A "Wiarus" to był taki nawet szalony. Nawet nie przypuszczałem, że "Ładunek" jest taki skory do TEGO, a "Modrzew" też nie wyglądał na takiego. Po dołączeniu "Bitnego" do oddziału naszą drużynę dołączono do jego plutonu. Jako trzecią drużynę dołączono do plutonu "Bitnego" drużynę "Tęczy". To był taki wysoki, szczupły, blondyn. "Lot" był w plutonie "Wiarusa". "Orzech" i "Ster" - Zygmunt Rojecki byli chyba u "Leszka". "Zając" Szafranski był w ^t sopniu kaprała - dostał go w konspiracji - i był chyba zastępcą "Tęczy" - dowódcy drużyny. "Kmicic" z Długoleki był właśnie w drużynie "Tęczy".

Gdy zatrzymaliśmy się w pierwszej napotkanej wsi na postój, dowiedzieliśmy się, że KBW też tu jest. Czym prędzej więc wynieśliśmy się stamtąd i poszliśmy na Puchały, gdzie to zlikwidowano tych ~~xxxxxxx~~ furmanów. Jak weszliśmy do Hajnówki to furmanki zostawiliśmy w lesie pod strażą, żeby nikt nie zwiął. W tej pierwszej wsi, gdzie zatrzymaliśmy się po wyjściu z Hajnówki, to tylko zdążyliśmy się rozejść po domach gdy zorientowaliśmy się, że we wsi jest wojsko.

Na postój zatrzymaliśmy się w Puchałach. Ja to mam zawsze takie szczęście, że zaraz muszę iść na posterunek. Tym razem dos-

tałem służbę jako goniec przy dowództwie Brygady. Tu trzeba biegać zamiast iść spać. No i wtedy drużyna "Modrzewia" poprowadziła tych furmanów do lasu. "Ładunek" też tam był. Likwidowali ich po kolei. Wyżywali się na nich. Nie wiem, ale "Modrzew" to chyba miał coś nie w porządku. Tam opowiadali chłopaki, że całą rodzinę "Modrzewia" wymordowali na jego oczach. Ukraińcy. I on podobno tak się mścił za to. "Modrzew" pochodził z lwowskiego. ~~Wszystkie~~ Wszystkie zęby miał sztuczne, z jakby z metalu, może ze srebra. Jak się śmiał to je wszystkie było widać. To utrwaliło się mi w pamięci bardzo dobrze. Znaleźli w lesie jakiś dół i w tym dole ich rozstrzelali.

Gdy pełniłem służbę przy dowództwie, byli tam wszyscy: "Bury", "Rekin", "Bitny", "Wiarus", i nagle wybiega zdenerwowany "Rekin" i mówi szybko: "Wyrwa", do "Modrzewia" szybko, żeby przerwał. - Pobiegnę więc ulicą i jakieś 100 m lasem. Podbiegnę do "Ładunka" i melduję: Panie plutonowy, "Rekin" wysłał mnie, żeby przerwać rozstrzelanie. - Zaraz, jeszcze parę sztuk, to skończymy - odpowiedział "Ładunek". I na tym się skończyło. "Ładunek" nie wykonał rozkazu, a "Bury" potem na sprawie zwał to na "Rekina". A "Rekin" jak mnie spotkał w więzieniu, siedziałem wtedy na pojedynkach, i staliśmy wtedy razem ~~przez~~ twarzą do ścian - to powiedział: O Jezu, ty dla mnie z nieba chyba spadł, bo "Bury" to wszystko zwał na mnie. Pamiętasz przecież, że wydałem rozkaz przerwania rozstrzelania tych furmanów. Czy mogę podać cię na świadka na tę okoliczność? - Proszę bardzo - powiedziałem. On jeszcze wtedy był w śledztwie i po jakimś czasie przyszedł do mnie na górę, na pojedynki ubek i przesłuchał w tej sprawie. Powiedziałem jak to było, bo coś miałem ukrywać. Potem była rozprawa "Burego" i "Rekina" i przyszli po mnie. Wyszedłem w drewniakach i eleganckim więziennym ubraniu. Dali mi

taki

takie, żeby nie zniszczone było. Załadowali wszystkich trzech, mnie, "Rekina" i "Burego" do suki i powieźli do kina "Ton". A tu ludzi na tej sawli. Jaką ja tu przeszedłem z tragedię. Trzymają mnie a tu na mnie rzuciła się na mnie, a młoda dziewczyna stojąca obok niej krzyknęła do niej: Jego wcale tam nie było, ale weź i wytłumacz starej kobiecie A to jej męża zabili w Kościukach w 1945 r. gdy ja jeszcze byłem w Prusach.

Po skończonej rozprawie powieźli nas spowrotem. X Z "Bury" to ja praiwe i nie rozmawiałem, bo w tej suce nie dali. "Bury" dostał karę śmierci, a "Rekin" w pierwszej instancji dożywotkę, ale prokurator założył rewizję na jego niekorzyść, a w UB to przecież większość byli Białorusini. Ja potem zresztą po wojnie dowiedziałem się taką rzecz, że podobno gospodarze z jednej wsi palili domy w drugiej wsi. Podpalał kilka i uciekną.

Z Buchał jadąc zatrzymaliśmy się w kolejnej wsi, którą podpáliliśmy. To była pierwsza. Właśnie tu "Bury" urządził zebranie gospodarzy z całej wsi, bo chciał dowiedzieć się o roku 1939, udawał przecież, że jest z KBW. Wszystkich mężczyzn do jednego domu zgonili i tam ich trzymali a drużynowi byli na odprawy^{wie} i potem każdemu zapalki dali. Chyba wiecie co macie robić? - powiedział "Ładunek", a już wiadomo było ^{że} trzeba spalić. Szliśmy od domu do domu i podpálaliśmy. To już było pod wieczór, przed zachodem słońca. Jak wieś zaczęła się palić, wtedy dali parę serii do domu, w którym byli zgromadzeni ci mężczyźni i też podpálili go. Mnie przy tym domu nie było tylko wiem, jak opowiadali chłopcy w plutonie. Jak dom zaczął się palić to będący w środku zaczęli uciekać i wtedy po nich strzelali. Gdy potem jechaliśmy z plutonem to z sąsiedniej wsi ktoś nadjechał konno. Zobaczył może łunę i jechał do pożaru. Wtedy któryś z nas, nie pamiętam tylko kto, wziął od drugiego erkaem i puścił serię. Na

tle lasu to nie było tak dobrze widać, czy trafił. "Bitny" krzykoął: Przerwać ogień. Wycofywać się! - a my już wtedy jechaliśmy furami.

Jeszcze wracając do tej wsi, w której "Bury" kazał zgromadzić mężczyzn w jednym domu, to drużyną, która ostrzeliwała ten dom była ~~szkara~~ na pewno drużyna "Modrzewiska", bo moja drużyna "Ładunka" dostała rozkaz podpalenia wsi. Podpaliliśmy więc kilka domów i wycofaliśmy się zaraz nie strzelając do nikogo.

Stamtąd pojechaliśmy w stronę Brańska. Po drodze jeszcze jedną wieś podpalili. Pamiętam, że tam cerkiew stała. My już udziału w tym nie braliśmy, tylko ci co z tyłu jechali, no i wteren pojechały też plutony podpalać.

Żadnych tam dyskusji po tym nie było. Chłopaki wspominali a ten to zrobił, a ten to. Większość z nas była cięta na Białorusinów. To nauuczka - mówili chłopaki - żeby się nauczyli, że z Polakami nie ma żartów. - Jak te wsi się paliły to cholerna kanonada była, bo w domach mieli dużo schowanej broni i amunicji, która wybuchiała. Jak odjechaliśmy od tej pierwszej wsi to takie ~~szkara~~ wybuchy były, jakby miny wybuchaly. W tym momencie nas już we wsi nie było. Mnie to jeden sąsiad na działce powiedział - on pochodzi z tych stron - to co podpalili partyzanci to partyzanci, a co między sobą podpalili to winna sprawa, a on przecież był w milicji, chyba w Długolece, tylko za dużo kumał się z partyzantami i za dużo pił.

Na tych wsiach to aż się kurzyło za nami, musieliśmy więc zmienić teren. Braliśmy furmanów, których zmienialiśmy co jakiś czas w kolejnej wsi i pojechaliśmy na Prusy. Nadal jeszcze udawaliśmy KBW. Gdzieś tam przyjechał do wsi, w której kwaterowaliśmy, jakiś oficer, który kontaktował się z "Burem" i "Rekinem". To

znowu miałem takie szczęście, że musiałem tego oficera - jakiś wojskowy - wyprowadzić przez posterunek^{ek} poza wieś. Jeszcze na Wysokiem Mazowieckiem dołączyła do nas oddział "Stalowego", ale o tym to tylko słyszałem. On nie był dowódcą plutonu bo w Brygadzie były tylko trzy plutony: "Leszka", "Bitnego" i "Wiarusa". Plutony były powiększone.

Gdy wybieraliśmy się na Prusy to "Zajac" przyszedł do mnie i mówi: Masz mundur, bo ja nie potrzebuję. Urlop dostałem, jadę do "Gryfa". Do domu wpadnę. - Urlop załatwili sobie wtedy trzej: "Zajac", "Lis", ~~XXXXXX~~ Ich trzech potem oo jeszcze jeden był z nimi aresztowali pod Tykocinem. Ja jeszcze do tego czasu nie miałem munduru. Oddział został umundurowany jak trzeba dopiero po Prusach. Jeszcze kożuszek miałem z tych wiosek białoruskich, to pod nim nosiłem ten mundur. ~~XXXXXX~~ Miał naszywki kaprała, pomyślałem sobie: Przyjdzie z urlopu, to po co mam zrywać te naszywki. No i ci dwaj pojechali do "Gryfa", spotkali się z takim "Tęczą", który chodził u niego i we trzech zostali złapani. "Tęcza" nazywał się Stanisław Raczkowski z Choroszozy, a "Lis" był chyba z Białegoszatoku (?).

Na Prusach przejeżdżaliśmy przez jakieś miasteczko - Elk nie Elk. Nie zatrzymywaliśmy się tam, przynajmniej nasz pluton. W miasteczku tym stali Ruscy i pamiętam, że ktoś tam dyskutował z nimi. Potem dołączyła do nas reszta i pojechaliśmy przez wioski. Popalone były i puste, bo to przecież luty 1946 r. Mało kto się osiedlił na tych terenach, Mazurzy tu jeszcze byli, autochtoni. Nie przyznawali się, że po polsku umieją mówić. Nieraz tam w patrol pojechaliśmy z drużyną to po niemiecku do nas mówili, może nie chcieli po polsku. Bali się ~~XXXXXX~~ wojska jednym słowem. Z jedzeniem było raczej ciężko.

Pod Orłowem zajechaliśmy do jakiegoś majątku. Tam jałówki wzięliśmy. Ja konia wzięłem pod siodło. Jechałem na nim. Potem musiałem go oddać, bo któśrenuś z oficerów spodobał się. Pogoda była ciężka. Mroźno i dużo śniegu, który cały czas padał.

Przedtem jeszcze przejeżdżaliśmy przez Wydminy. Tam "Rekin" miał rodzinę. To wpadł tam na krótko i zaraz pojechaliśmy dalej. Stamtąd pojechaliśmy właśnie na Orłowo. To jest większa wieś. Kościół tam stoi. Natomiast ta ckała bitwa rozegrała się pod Orłowem, we wsi Girsówka. Tam tylko kilka domów jest. Pamiętam, że jeszcze była tablica z niemiecką nazwą wsi: Adlerdorf (Adlerdorf?). To znaczy przez tę wieś przejeżdżaliśmy w drodze do Girsówki. Adlerdorf to chyba nazwa Orłowa.

Gdy zajęliśmy kwatery - takie mam szczęście - od razu objąłem służbę. Wysłali mnie na posterunek. Nasza drużyna objęła służbę wartowniczą. Zająłem stanowisko od strony Puszczy Boreckiej, a od strony Orłowa na warcie stał "Żak". "Rekina" z nami nie było. Ze swoim plutonem był gdzieś indziej.

Stanowisko zająłem koło zabudowań na skraju wsi. Ładne były budyneczki z cegły. Nikt tam nie mieszkał. W jednym słoma była, w drugim drzwi powyrywane. Normalnie, jak to po przejściu frontu. Zimno było tak, że na kożuszek miałem nałożony jeszcze jeden długi kożuch wojskowy. Po pewnym czasie usłyszałem nagle strzelanie i wybuch granatów. Było gdzieś przed południem, bo do wsi przyjechaliśmy nad ranem. Trudno mi powiedzieć dokładnie co to była za godzina bo nie miałem zegarka. Po 5-10-ciu minutach widzę, że już tu biegną, tu biegną a "Bury" pierwszy w tym z siwej dermy, jak to Niemcy na motocyklach mieli swoim płaszczu ponemieckim i czapce rogatywce z "kura" kościuszkowską. "Bury" biegł przy domach. Pytam się go: Panie kapitanie, co robić? - Zachodzić od tyłu, zachodzić od tyłu - i poodzed przed siebie do lasu. Zostawił nas. To wzięły nas do cholery

jasnej, jak widzi, że tu niedobrze. A my- w bo do mnie dołączył jeszcze jeden (mówił, że jest z Białegostoku, z Hwetmańskiej) i od tyłu podeszliśmy w takie miejsce, że już ani w tą ani w tą nie mogliśmy się ruszyć. Ten kolega tu zginął. Kanonada była, strzelali jak diabli. Zanim dobiegłem do kupy kamieni, gdzie znalazłem przez jakiś czas schronienie, to już widziałem, jak czołga się ranny, i "Modrzew" i "Wiarus". Wszyscy byli ranni i czołgali się. Dostali jeszcze we wsi, z której wyczołgali się. "Modrzew" ranny biegł. Potem dostał drugi raz. I tak zostali tam. Ze swego posterunku nie widziałem, jak pancierka wjechała do wsi, ale potem słyszałem o tym. Mówili, że tylu ruskich tam zginęło, ale chyba w innym ^m miejscu, bo w tej wsi to nie. Jak byłem tam miesiąc temu to stara kobieta opowiadała, że potem Ruskie ścignęli naszych zabitych z pola i jeszcze znęcali się nad nimi.

Walka we wsi trwała do zmroku, gdzieś do 4-tej po południu. O tej porze właśnie, gdy nie miałem już czym strzelać, wzięli mnie do niewoli. Najpierw broniliśmy się we dwójkę z tym kolegą z Białegostoku. Potem on zaczął się wycofywać, a ja go osłaniałem. "Bury" to mylnie nas skierował bo stąd nie było wyjścia. Gdy zaszliśmy od strony Orłowa, to jak zaczęli po nas pracować z karabinów maszynowych to mogliśmy się skryć tylko za kupę kamieni. On miał Pepeszę i ja miałem Pepeszę, więc co to było za strzelanie. W końcu kolega zaczął wycofywać się do tyłu pod górę. Czołgał się po śniegu i w tym momencie dostał serię z erkaemu po plecach, aż głowę schyliłem. Wystawiłem Pepeszę i strzelam, ale co to było za strzelanie. Pepesza na 300 m nie sięgnie. A i zdenerwowany byłem przecież. W pewnym momencie pociągnąłem za spust i nic. Cisza. Odciągnąłem zamek- pach - cisza. Koniec. Miałem tylko jeden bęben amunicji ze sobą. A co to jest 72 sztuki amunicji. Tak, że wzięli mnie dopiero o zmierzchu.

Do Białegostoku wieźli nas "Ziłem". Skrzynia odkryta, a my siedzimy we dwóch. Ręce i nogi związane. Pilnowało nas trzech czy czterech z automatami wymierzonymi w nas. Prosiłem wtedy Dóga, żeby tak zaatakowali nas wtedy chłopcy z lasu, ale nic takiego nie zdarzyło się. Byłem tylko w samym mundurze, bo kożuszek już mi zabrali, a potem i mundur mi zabrali, tak, że zostałem tylko w samym sweterku.

W Białymstoku zawieźli nas na Mickiewicza, na UB. Od razu na górę wzięli mnie. Polacy mnie przesłuchiwali. Do celi to musiałem iść na kolanach tak dostałem. Przywieźli jeszcze mego ojca i mówię: Zrobimy to samo co twój syn zrobił na białoruskich wioskach. To samo zrobimy z wami i całą rodziną. Zrobili mi tam zdjęcia z przodu i z profilu. I zaczęli mnie namawiać, żebym poszedł do "Burego" i dał im znać gdzie on jest. Dobra - powiedziałem - żal mi przecież było rodziny. Miałem uciec wtedy z oddziału i zawiadomić ich. No - pomyślałem sobie - jak ja wyjdę stąd to wy już mnie nie zobaczycie. Na pewno. - Nie kazali mi nic podpisywać, nie dali żadnego pseudonimu.

Śledztwo w Białymstoku trwało z tydzień albo więcej bo jak wróciłem to już śnieg ginął. W tym czasie zgiął "Zajac", "Lis" i "Tęcza". Żołnierzy z KBW wyprowadzali z koszar na cmentarz wojskowy z orkie^{str}strą, to w tym samym czasie naszych trzech chłopaków rozstrzelali na terenie jednostki KBW na Bema. Stali przywiązani ~~xxx~~ do słupków i zostali rozstrzelani przez pluton egzekucyjny. Tam od razu doły były wykopane. Mam na to świadków, którzy to widzieli.

Przesłuchiwali mnie przeważnie wieczorami. W dzień był ~~na~~ spokój. Leli zwykłą sztachetą. Uwiązali mnie do krzesła. Potem jak mieli mnie wypuścić to zaprowadzili mnie do takiej sali, gdzie stał długi stół zasłany czerwonym suknem i siedzieli przy

nim polscy i ruscy pułkownicy.

Jak mnie wypuścili to poszedłem do rodziny ojca. Żona jego orata jak zobaczyła moje nogi, gdy zdjąłem buty, to krzyknęła tylko: O Boże!. - Ja tam oczywiście nikomu nie mówiłem, że zgodziłem się na współpracę z UB, tylko powiedziałem, że uciekłem. To było w ~~Rxxxxxx~~ Żółtkach. Zaraz zawiadomili moją siostrę i przyjechała po mnie. Załatwiła mi lewe papiery, zaopatrzyła mnie na drogę i pojechałem w lubelskie. Znałem stąd chłopaków, którzy byli w czasie okupacji razem ze mną na robotach na Prusach. Chciałem się tam ukryć przez jakiś czas. Wszędzie jednak było to samo co i u nas, wszędzie partyzantka. Byłem w Krasnymstawie, w Biłgoraju. Powiedziałem co i jak. Co ty chłopie, kiepska sprawa- usłyszałem w odpowiedzi. Dawaj spowrotem. Co będzie to będzie. Byłem tam wszystkie ze dwa tygodnie. Zresztą heniek też był w Gliwicach czy co nie wrócił? A markowski był w Gdańsku - nie wrócił? każdy wracał w swoje strony.

Gdy wróciłem to trafiłem w akurat gorący moment, bo to było tylko co po akcji na Pieczę. W Babinie przepравиłem się przez Narew. zaszedłem do kuzynów Sikorskiego, żeby z nim skontaktować się i zaraz na kolonii w Rzędzianach spotkałem go. Powiedziałem mu o wszystkim. Co miałem robić zresztą, przecież nikt nie sypnął ani nie zabił. Rób ze mną co chcesz - powiedziałem do niego. "Gryf" już nie puścił mnie do "Burego". Miał do mnie zaufanie. Dostałem broń - Bergmana, magazynek miał w kształcie rożka na 32 sztuki amunicji. Znał mnie przecież od dawna. Znał moją rodzinę, znał Mariana, z którym wychowywałem się od dzieciństwa. Gdzie szedł to tylko ze mną, więcej nikogo nie brał. Nie pozwalał, żebym gdzieś tam na akcji strzelał. Pamiętaj - mówił - żebyś nikogo na sumieniu nie miał.

W patrolu "Gryfa" byli wtedy: "Orzech", "Ster", "Lot", "Lech"

Markowski z Dzikich, "Małgucz", "Wis" - Kozakiewicz z Łap.ⁱ

Któregoś razu taki Turecki z Choroszczy zabrał Sowiecom samochód i przyprowadził go do nas.

Jak referendum było to w Sawinie ulotki pisaliśmy i ręcznie i na maszynie i rozsyłaliśmy je. Wzywały do głosowania na Mikołajczyka. Nieraz zachodziliśmy do Rzędzian, do nauczycielek, które potem "Dziadek" zastrzelił. Tam właśnie "Gryf" poznał swoją pierwszą żonę. Ona uczyła w miejscowej szkole. Nie wiem czy one należały do PPR-u. Gdyby tak było, to chyba "Gryf" by tam nie zachodził. Zresztą nie wnikałem w to. To nie była moja sprawa, tylko dowódcy.

Gdy ujawnialiśmy się to "Gryfa" nie było z nami. Ujawniał się razem z "Młotem" z Rogowa, z Wiś-em zza rzeki. Nie wiem dlaczego tak wyszło. Ujawnialiśmy się w Białymstoku na powiatówce. "Gryf" ujawnił się po nas. Z tym to też było różnie.^z Jedni uważali tak, inni inaczej. Ja to się bałem jak diabli, czy mnie ta amnestia w ogóle obejmowała. "Gryf" powiedział, że jak wszyscy będą chcieli się ujawnić to i on też.

Jeszcze jak były wybory w styczniu 1947 r. to Heniek skł^{ął} tam wytrasmaszynę do pisania i pisał na niej ulotki, które potem rozsyłaliśmy po wsiach. Pisaliśmy, żeby ludzie nie głosowali.

Jakoś nie spotykaliśmy się z innymi oddziałami. Byliśmy zandermerią Okręgu. Żadnych akcji już w zasadzie nie przeprowadzaliśmy. Nieraz wymykaliśmy się obławom. W Sawinie siedzieliśmy w piwnicy domu: ja, "Ogień" Babiński i "Gryf" a na górze KBW. Reszta oddziału była na innych kwaterach. Zresztą zanim "Ogień" nie wyjechał to razem we trójkę przeważnie byliśmy. To już latem było. Zimą 1946 r. jak byliśmy na kwaterze na kolonii w Sawinie to kolega postrzelił mnie przypadkowo z pistoletu maszy-

nowego. Bawił się nim, odciągnął zamek i padł strzał. Kula przeszła mi dokładnie pod jałkiem w nodze, bo trzymałem założoną jedną na drugą. Obandażowali mi ją. Powiadomili też zaraz siostrę moją w Żółtkach, który przywiozła Marasimowicza z Choroszczy, felczera, który dał mi zastrzyk. To myślałem, że od tego zastrzyku tożę ja się wykoję. Gospodarz zaprowadził mnie do stodoły, zrobił dziurę w sianie i tam się schowałem. To może ze trzy dni nie chodziłem. Akurat wtedy wrócił do domu po rozpuszczeniu oddziału przez "Burego" Trypuz Olek. Przyjechał na koniu, który nazywał się "Balet". Skontaktował się z "Gryfem" i zostawił tego konia u gospodarza tego, co ja się u niego ukrywałem po tym postrzale. Ty zostaw mnie jego - powiedziałem do Olka - bo mnie na siodłku lepiej będzie jak pieszo chodzić. To tego konia tak przyzwyczaiłem, że nawet w nodze mogłem zostać u gospodarza. wić, a on szedł za mną. Zostawiłem go potem. Ja w siodle to pierwszorzędnie jeździłem, bo gdy byłem na Prusach to jeździłem jako furman, bo cztery konie były w zaprzęgu i koń z tyłu, z lewej był w siodle.

Chcieliśmy rozbroić posterunek w Konowalach, ale nie doszło do tego bo natknęliśmy się na Sowietów, którzy nadeszli. To był patrol łącznościowców sowieckich. Patrolowali akurat skłupy. Postrzelaliśmy do nich trochę i wycofaliśmy się. W Konowalach stacjonowało też KBW i i-ch chcieliśmy rozbroić, ale przez tych Ruskich nie udało się. Oni pierwsi nas ostrzelali. To było zima.

Jak przyszedłem do oddziału to "Wis" Kozakiewicz już był w oddziale. Potem jak siedzieliśmy to jego matka i moja razem nam paczki podawały. Babiński natomiast - Wicek z Rzędzian - nauczył mnie alfabetu Morse'a. Siedzieliśmy wtedy w sąsiednich celach. Ja sam siedziałem. Raz staliśmy na korytarzu obok siebie,

i mówię do niego, żeby nauczył mnie chociaż tego alfabetu, żeby: Porozumieć się z tobą. - Człekaj, w ubikacji zostawię dla ciebie karteczkę. - U niego to była nasza melina w domu.

U "Gryfa" to nie za bardzo można było sobie popijać, bo o-
pierniczał jak cholera, no chyba, że nie widział i nie dowie-
dział się. Ja tam za bardzo nie piłem zresztą. Kieliszek, dwa.
"Orzech" to lubił wypić. Mnie to nie ciągnęło. Jak na Prusach
byłem to nie piłem wogóle. U "Burego" to zabronione było w ogóle.
Jak było jakieś święto czy okazja to tylko po 100 gram pozwalał.
Przypomniałem sobie też wypadek rozstrzelania chłopaka z oddzia-
łu, gdy byłem u "Burego". Miało to miejsce w Kołodziejach. Chło-
pak samowolnie opuścił oddział. Ustawiono nas w szeregu w czwo-
rokboku na łące poza wsią pod lasem. Dół już wykopany był. Chło-
pak jak uciekł to zaczął "urzędować" po wioskach, po dziewczycy-
nach, popijać sobie aż go złapali i skazali go na karę śmierci.
Ustawieni byli my plutonami. "Bury" przeczytał wyrok i kazał
wykonać. Najpierw jeszcze kazał mu się pomodlić. No i czy to
"Leszek" strzelał czy kto inny. nacisnął na spust - niewypał.
Podszedł więc drugi i ~~szxxxkikxwxkixkxwx~~ też miał zacięcie.
Niewypał. Aż w końcu za którymś razem pistolet wypalił i zas-
trzelili chłopaka.

Jeszcze przypomniało mi się, że w tym majątku na Prusach co
to zajechaliśmy do niego niedługo przed potyczką to kogoś wzię-
li my ze sobą, ale nie wiem co się z nim stało. ~~W~~ Do tej pory
cały czas padał śnieg. Gdy tylko wyjechaliśmy z tego majątku
śnieg przestał padać. Była "ponowa", czyli wszędzie świerzutki
jeszcze śnieg. Nic więc dziwnego że po naszych śladach trafili
do nas. Ani telefonu ani co to wtedy nie było. Do Wydmín daleko.
Oni więc pewnie szli za nami od tych wiosek białoruskich. Ja to
się zdziwiłem, że tam wcale polskich żołnierzy nie było, same

Ruskie. Jakoś jeszcze łaską u Boga mam, że nie rozwalili Ruskie^{nie} na miejscu, skoro z trupami tak się obeszli - połamali im ręce i nogi i porozbijali głowy.

Jak się ujawniałem to zdałem tego Bergmana. Ubecy zaglądali w lufę, wyjęli magazynek, wszystko. Takiego jeszcze nie spotkali - mówili - żeby karabin był tak utrzymany dobrze.

Po ujawnieniu wróciłem do domu. Jeszcze Ruscy byli w Snoroszczy i w Żółtkach na kwaterach. Jakiś czas potem wyjechali.. Razem ze mną ujawnili się: Babiński, Martowicz "Małecz", "Orzech", "Lot", "Ster", "Lech". Było nas 3-miu czy 2-ciu. Jak przez Żółtki jechaliśmy to puściliśmy ~~xxx~~ porządnie serię do góry na wiat. Siostra moja to płakała, jak nas zobaczyła, a Ruskie wyglądali zdziwieni ze swych kwater co to się dzieje. Oczywiście każdy elegancko był ogolony. Do kościoła to chodziliśmy przeważnie wieczorami do Złotorii. Do spowiedzi i komunii. Każdy miał ryngraf z Matką Boską Częstochowską albo Ostrobramską. Ludzie kupowali nam je, bo tego wszędzie w sklepikach było pełno. Ja i "Małecz" mieliśmy wyhaftowane na rękawach takie ładne tarcze: orzeł z koroną, biały, na czerwonym polu i dookoła litery: S, W, O. - Śmierć Wrogom Ojczyzny. Wyhaftowała je nam taka znajoma nasza, niemowa ale pierwszorzędnie haftowała. Nie pamiętam już skąd ten pomysł się wziął, bo przecież takie same tarcze nosili żołnierze "Burego". Te tarcze dostaliśmy latem 1946 r. Tylko ja i "Małecz" je mieliśmy.

Często z "Małeczem" gdzieś chodziłem. Latem 1946 r. poszliśmy sobie do Białegostoku. Koło szkoły zawodowej na Stołecznej był taki domek, gdzie narzeczona "Małeczka" chodziła uczyć się haftować, to tam zachodziliśmy do niej. Z "Gryfem" do Starosielc chodziłem do jego narzeczonej. Nazywała się Dudek. Wtedy miałem ze sobą Bergmana (jak byłem z "Małeczem" w Białymstoku to mieliśmy

ny tylko broń krótką). Jej matka to trochę krzywo patrzyła na tę broń, ale wszystko było jak najlepiej. Wieczorem przyszliśmy a następnego wieczora poszliśmy.

Oczywiście każdy z nas był młody, każdy więc miał dziewczynę. Ja też miałem kuzynkę Babińskiego w Rzędzianach. Teraz to już pewnie nie poznałbym jej. Czasami jak się sprzykrzyło chodzenie w patrolu to każdy poszedł sobie sam. "Gryf" tylko palcem pogroził i zaznaczył: Bez picia!. Sistra "Gryfa" też mi się podobała. Mieliśmy meliny w wielu wsiach, ale najlepiej raz to było w Izbiszczach. zabawa była. Bawimy się, ale broń mamy przy sobie a tu raptem na zabawę przychodzi KBW z bronią z Konował. Razem się bawiliśmy. To było chyba w Sylwestra 1946 r., a już wtedy mówiło się o amnestii, tak że niektórzy z nas wódkę razem z nimi pili. Ich było chyba z 8-miu ale i my mieliśmy takie uzbrojenie, że buzi dać. O 12-tej postrzelaliśmy sobie.

Po ujawnieniu pojechałem w łódzką do koleżanki siostry. Myślałem, że może jakąś pracę tam znajdę, ale gdzie tam. Z pracą tam było tak samo jak i u nas. Moja siostra pracowała w Starosielcach na poczcie. tam poznała jednego operatora z kina i on nauczył mnie obsługiwać aparat filmowy krótkometrażowy. Wyświetlaliśmy filmy oświatowe po szkołach. Egzamin na operatora filmowego zdałem w kinie "Hel", które było w miejscu, gdzie na przeciwko Muzeum Wojska stały armaty. ~~xxxxxx~~

Jeszcze zanim wyjechałem do Białegostoku to zaczął do mnie do Żółtek, przychodzić "Gryf". Już ukrywał się znowu. Najpierw to przyszedł ~~xxxxxx~~ sam. Przenocował u mego sąsiada. Potem przyszedł z żoną, to zaprowadziłem ich na kolonię do dobrych znajomych, o których wiedziałem, że nie sypną. Następnym razem przenocował u sąsiada przez szosę. Poszedłem jeszcze do mamusi żęoy jedzenia dała. "Gryf" dał mi wtedy zeszyt, który miałem dostarczyć dla Komandanta Okręgu.

dostarczyć dla Komendanta Okręgu. Jak nie będziesz mógł - powiedział "Gryf" - to spal to. - Był wtedy z Grzybkiem "Młotem". Może pójdziesz.. (z nani - J.K.) - spytał się wtedy - masz - pokazuj mi Bergmana - taki sam jak miałeś. - Nieee, daj spokój - zaśmiałem się. Wyprowadziłem ich, pożegnaliśmy się: Cześć, cześć i poszliśmy. ~~xxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxx~~

Kilka dni później dowiedziałem się, że "Błękit" zginął i razem z mamusią porwali. Ten zeszyt na kawałeczki i spaliliśmy w piecu. Czytać będę - powiedziała mamusia. - A co tam czytać? Co mamusia będzie czytać, po co to potrzebne - powiedziałem i wzięliśmy się za rwanie. Kontakt na "Błękit" był w Rzędzianach. Tam też któregoś razu przekazałem pistolet dla "Wiarusa".

Któregoś razu, po nocy spędzonej u koleżanki w Białymstoku, przyjechałem do domu, a tu mówią mi: Przyjeżdżali za tobą. Pytali się o ciebie. A ja już miałem wtedy skierowanie do pracy w Łomży. jako operator filmowy w szkole. Zabrałem więc aparat na pociąg, filmy i jadę do Łomży. Wynająłem chałupkę. Syn gospodyni też pracował w ~~xxxxxx~~ kinie. No i tak się zaczęła moja praca. Przyjechałem pewnego razu do Białegostoku wymienić filmy. Zorientowałem się, że coś tu nie tak, bo jakoś dziwnie się do mnie odnosili. Gdy przyjechałem do Łomży, do domu, gospodyni mówi: Byli za tobą. - A pies was jechał z waszą robotą - pomyślałem sobie - chodu stąd. Pojechałem do domu. Tu miałem schowaną Tetetkę i poszedłem. Gdzie ja pójdę - myślę sobie. Poszedłem do Złotorii. Kuzynów tam miałem. Na wioskę do kolegi pójdę, a jak tam nie będzie miejsca to łódką przez Rzekę do Rybak Idę koło plebanii w Złotorii i świecę sobie latarkę, pistolet za paskiem. Zgas światło! - nagły, zduszony okrzyk przestraszył mnie Zgasilem latarkę, wtedy ktoś podszedł do mnie z zapaloną latarką i łup mnie w głowę. A to "Dziadek" - Piotr Rzędzian. A ty cholero,

za co mnie bijesz? - O, to ty marian - zdziwił się "Dziadek". Patrząc a ich dwóch, drugi to "Cygan". "Dziadek" z Bergmannem, a "cygan" z Mauzerem. Od tej pory zacząłem z nimi chodzić. Znałem go stąd, że nieraz u niego na kwaterze staliśmy. Po drodze "Dziadek" zaszedł jeszcze na plebanie do księdza, żeby wspomógł go finansowo, ale ksiądz mówi: Ja sam biedny. Ze Złotorii poszliśmy do Rzędzian. Tam przez kogoś skontaktował się z synem. No i wtedy "Dziadek" przyszedł i mówi "No, teraz zajdę do tego skurczybyka "Gryfa" i rozwalę. - Chciał zabić jego ojca, matkę i żonę. Nie wiem skąd mu to przyszło do głowy, ale może taki rozkaz dostał. Wtedy wywnioskowałem, że współpracuje widocznie, bo ni cholery nie bał się. Gdy gdzie trzeba było iść, to zawsze mówił: A czego się bać. Odważny był taki.

W Kruszewie chciał zabić człowieka, bo coś mi odbiło i powiedziałem, że ten gość ma broń. Wtedy w Kruszewie dołączył do nas Aleksander Trypuz "Żelazny". Też ukrywał się. I tak razem chodziliśmy aż do stycznia.

Jeszcze co do tego, gdy chciał zabić rodzinę "Gryfa" to jak tylko to powiedział, to wyciągnąłem pistolet, odciągnąłem zamek, wymierzyłem w niego i powiedziałem: A rusz tylko to to samo będzie z tobą - Rąbnąłbym go wtedy od razu, gdyby tylko chciał kogoś zastrzelić. Tak samo w Kruszewie było. Zostaw go - powiedziałem - Ile on ma dzieci? Coś ty durny czy co? Za co, że on pistolet miał? - żałowałem potem, że przez swoją głupotę o tym powiedziałem. Nie dość, że gość powiedział nam, gdzie leży ten pistolet i wziąłem go, to "Dziadek" jeszcze chciał go rąbać.

Ukrywaliśmy się w tych okolicach: ~~XXXXXXXXXX~~Rybaki, jaworówka - tu to dobrze było. Byliśmy kilka razy.

Do lasu poszedłem więc latem 1948 r. Prawie półtora roku więc od amnesti. Pierwsze pół roku to ja jeszcze pomagałem dla ojca

xxxxxxx w pracy, bo ojciec był ślusarz-kowal, rusznikarz jeszcze z carskiej armii. Nigdzie pracy nie mogłem znaleźć to pomagałem mu, gdy pracował w szpitalu w Choroszczy. Robił tam ogrodzenia itp.

No i gdy byliśmy u jednego gospodarza to w biały dzień zaszkoczyli nas. Warty przecież nie trzymało się, bo za mało nas było. Zaszli od strony zabudowań. Każdy z nas spał, bo przyszliśmy przecież nad ranem. xxxxxxxx Któraś dziewczyna xxxxxx powiedziała: „Wojsko okrąża!” - Skoczyłem do okna z Bergmanem, wyskoczyłem na podwórze, puściłem serię z za węgla do żołnierzy i - widziałem jak równy ścieg idzie po śniegu niedaleko od żołnierzy których erkaemy były już ustawione - i skoczyłem do stodoły. Za mną wyskoczył „Dziadek” i dostał z erkaemu. Skosili go. Ja już więcej nie ostrzeliwałem się, a ci dwaj co zostali na kwaterze to nawet nie próbowali stamtąd wychodzić. Nie mieliśmy żadnego wyjścia, bo dom otoczony był ze wszystkich stron. Wzięli nas: mnie, „Cygana” i „Żelaznego” i powieźli na powiatówkę, na warszawską, na przeciwko przedwojennego gimnazjum Zygmunta Augusta. Chcieli mnie tam chyba sprzątnąć, bo jak przesłuchiwał mnie porucznik, to w rogu stał mój Bergman i stała troba z magazynkami - widziałem jak one wystawały, tam żadnego naboja nie było tak to stało, żeby ja złapał ten karabin, a oni by wtedy mnie sprzątnęli. Nie wiem co oni myśleli.

Najpierw to zaprowadzili mnie do szefa PUBP, a potem ten przekazał mnie temu porucznikowi. Pierwsze lanie to ja dostałem jeszcze w stodole. tak mnie skopał, że chyba zebra popękane miałem. Tak mnie bolało, że nie mogłem odkaszląć. Żołnierze z KBW stali dookoła a jeden w cywilu - ubek - kopał mnie i pytał się: Gdzie broń, gdzie więcej broni? - Tu leży moja broń - odpowiedziałem, ale to nic nie pomogło i dalej kopał mnie leżącego na ziemi.

Na powiatówce też było łanie i pytali się, gdzie broń i "Wiarus". Wiedzieli przecież, że "Dziadek" i "Cygan" to od "Wiarusa" przyszli. Co dziwne, ale "Dziadek" i "Cygan" nigdy nie chcieli mi opowiadać o "Wiarusie". "Cygan" to też wydaje mi się mocno podejrzany. Podobno jeździł w mundurze porucznika razem z UB, po jego xparasztowaniu. nazywał się Jerzy Nitta. xR Pospolicie nazywali my go "Warszawiak". Jak on śpiewał pięknie, ale głos miał. Na pojedynkach siedział xxxxxx w celi na przeciwko mnie. mojej, to mówił, że dostał kaes. O tym, że dwa lata wozesniej, gdy wzięli mnie po bitwie na Prusach, zgodziłem się na współpracę to nawet nie wspomnieli. Nie wiem dlaczego?.

Na przesłuchania brali i w dzień i w nocy. Jak im do głowy przyszło. Nie mogę sobie tylko przypomnieć tego porucznika, który mnie przesłuchiwał. Taki blondyn niewysoki, łysawy. Oczywiście miał pomocników. Jak wzięli mnie w styczniu 1949 r. to sprawę miałem dopiero w październiku, 15-go. Rxxxx Bili ręką. pięścią, albo pistoletem. Do dzisiaj na żebrach nam ślady, gdzie były połamane, potłuczone. Zawsze kilku mnie tak oprawiało. Zresztą jak człowiek zemdłał, to nie pamiętał czym dostał.

Na rozprawie dostałem 12 lat. Potem z pojedynki przenieśli mnie do suteryny i w transport. Powieźli nas do Rawicza. Tu najpierw kwarantanna przez parę dni i trafiłem na biały pawilon. Jak przyjmowali nas do tego więzienia to spokojnie było. Nie bili nas. Chociaż w pociągu to wieźli mnie w klatce takiej skutego. Innych to wieźli po dwóch a mnie pojedynczo jako niebezpiecznego.

Początkowo to trafiłem na dobrą celę. Siedział tu gość ze sprawy szpiegowskiej. Siedział też major KBW ze szkoły ze Szczyt-na czy skąd. Był też doktor prawa z Sanoka, był inżynier agronom jeszcze sprzed wojny - starszy już gość, i jeszcze jeden ze spra-

wy szpiegowskiej, tej samej, Iwony Beslarx - był to Polak urodzony we Francji. Przyjechał tu i wplątał się w łapy UB, bo znał 6 języków, francuski, niemiecki, włoski, angielski i jeszcze jakiś. Pochodził z Paryża. Nazywał się Edward Walczyk. Jego ojciec za księcia Franciszka Józefa był oficerem w austriackiej armii i wyjechał z żoną do Francji. Najmłodszy byłem w tej celi i siedząc z takimi wykształconymi ludźmi wiele się nauczyłem. Historii, francuskiego. Na ścianie słówka pisałem sobie, żeby zapamiętać.

Chyba w 1950 r. zabrali mnie do Białegostoku na rozprawę kogoś od "Burego", bo podał mnie za świadka. Nie pamiętam już kto to był. Chodziło właśnie o coś co się stało gdy wracaliśmy z białoruskich wiosek. Na celi ogólnej spotkałem się z "Gołębien" Puławskim, "Czarnym" Dziemianowiczem, Wojną Tatkien. Potem na tą celę przyszedł Babiński Wicek. Szykowali nas do transportu. Pojechaliśmy do Wroniek. Tam trafiłem na kwarantannę i tam nawalił mi wyrostek robaczkowy. Operowali mnie więźniowie. Taki doktor-hirurg Pierzchała, był taki dr. Fijałkowski ze Szwajcarii. Po wyglądzie oczu wystawił diagnozę. Potem po wyjściu na wolność jeździłem do niego do domu z kolegą, żeby jego żonę leczył. Miał piękną willę. Trzeba było do mnie od razu przywieźć, a nie do kliniki - powiedział. było już za późno na pomoc.

Po operacji wsadzili mnie do celi na dole. Po sąsiedzku byli: "Gołęb?", Dziemianowicz i Wojno. "Gołęb" jak mnie zobaczył pierwszy raz w Białymstoku to się zdziwił mocno: To ty też tutaj? - A co ty myślisz, że to tylko ty? - roześmiałem się.

W celi ze mną siedzieli lotnik z Anglii, chyba Król się nazywał i komandor Sztejer. Początkowo siedział ze mną syn komandora Sztejera, a potem zrobili przerzutkę - zabrali syna a dali do celi ojca. Tutaj zacząłem "świrować". Wyprawiałem

~~xóxx~~ nie wiadomo co. Przez okno wyglądałem - a przecież surowo zabronione było - pod łóżko wchodziłem, sam do siebie rozmawiałem. Wzięli mnie więc na górę. Na obserwację. Trzeba było tak dalej trzymać, ale zrobiłem przerwę, że niby odeszło to ode mnie. I była jaka. Wtedy komisja z Ministerstwa Sprawiedliwości czy Ministerstwa Bezpieczeństwa. Jeden z nich powiedział przy mnie: Ooo, to same bandziory siedzą - jacy bandziry - rzuciłem się do niego. To są tacy sami ludzie jak wy. Przecież my tylko walczyli. my przeciwko wam, a więc nie jesteśmy żadnymi bandziorami, żadna banda. - Oczywiście zapamiętali to sobie. Od tej pory wzięli mnie na górę i tam wzięli się za mnie.

Któregoś razu, już po tej komisji, przyszli po mnie taki niski sierżant i porucznik Grabowski. Zaprowadzili mnie do łaźni. Tam kazali mi się rozebrać i przykuli do słupów. Puścili zimną wodę, odpięli pasy i zaczęli mnie okładać sprzączkami. Potem odwiązali mnie i do karca. Wtedy Heniek Sikorski słyszał jak ja słyszałem. Pomyślałem sobie: Guzik wy mnie zrobicie - i dawaj śpiewać. Żeby cieplej było, goły przecież byłem, a tam wilgoć na ścianach. Okna żadnego nie ma. Śpiewałem: ~~xóxx~~ "Waszby nam dziś dzień nastał", bo to akurat przed Wielkanoc było czy w Wielkanoc. Coś takiego. To już był jakiś 52 czy 53 rok. Trzymali mnie tam ze 43 albo i więcej godzin.

Stamtąd zabrali mnie do ~~xóxx~~ szpitala. Tam już chociaż małe okienko było. Kraty i na szybach siatka. Wciągnęli mnie tam nagiego i nie wiem co mi tam zrobili, dość, że straciłem przytomność. Przebudziłem się w celi na porwanym materacu. Od razu przyszli: O, rusza się, żyje. - Przyszło ich chyba 5-ciu czy 6-ciu. Skurczybyki przykuli mnie do ściany. Klamra ze ściany wystawała. Ręce skuli oczywiście do tyłu.

Wieczorem przychodzą. Chyba z B-miu. Porucznik trzymał po-

tężną igłę i zaczął mnie kłuć: Patrzcie, jego nic nie boli. Nawet nie skrzywi się. - Ja wtedy, faktycznie napiąłem mięśnie i ~~na~~ uodporniłem się trochę na ból. Człowiek może przecież coś takiego zrobić. Potem porucznik wyjął zapalniczki, zaczął je zapalać i podpalać mi włosy na klatce piersiowej, tak, że skórę osmalił. W końcu uspokoili się, ale ja ~~o~~ to nie wiem, ile nieprzytomny leżałem, gdy wrzucili mnie do celi. Może myśleli, że mnie już koniec. Wtedy postanowiłem, że to dla mnie nic i śpię. ~~o~~

Jest apel. Przychodzi inspekcyjny - wysoki Żyd. ~~o~~ Odkuł mnie. Wyglądało to tak, że robił to bez wiedzy porucznika. Zdjął kajdanki. ~~o~~

Jest noc, raptem słyszę zgrzyt klucza w zamku. Od razu skoczyłem do okna, w miejsce gdzie byłem przykuty i ręce schowałem do tyłu, naby to skutki. No będzie teraz - pomyślałem sobie - ale teraz to ja wam pokażę. - I znowu to samo. Klucze i boks. Porucznik w obstawie 7-miu chłopów używał sobie na mnie. I taki wysoki sierżant mówi: Panie poruczniku, może ja poćwiczę trochę. - A ^{tak} możesz, to jak worek. Możesz boskować w niego a on nic nie czuje. I ten raz mnie uderzył, drugi, tu, tu i jak mnie w mostek, tuż pod żebrami, nie wyróżnie - jak ja wyrwę rękę zza pleców i jak go przypięniczę w szczękę - to sam się przestraszyłem gorzej jak on, bo jego szczęką wyskoczyła z jednego i drugiego stawu. Myślałem, że metalowe drzwi i futryny wywalą tak uciekali wszyscy z tej celi. Podobno, jak potem słyszałem, to jak jemu nastawiali tę szczękę to był jak niewiadomo co, bo to przecież trzeba było z drugiej strony też uderzyć, żeby naskoczyło na staw.

Oczywiście nie mogli mi tego puścić płazem. Nad ranem przyszło ich chyba z nowu z 8-miu i na górę mnie zabrali. Nagiego. Zaprowadzili do łazienki. tam już wanna była pełna zimnej wody i tam mnie wpychają nagiego. Tu już było ich 4-ech. Oczywiście chciałem się wyrwać - wrzucili mnie do tej wanny głową do dołu,

ale się przekręciłem - i wtedy zaczęli nogami, obutymi przecież w podkute buty, ~~xxxxxxx~~ deptać mnie po rękach, tak, że skórę mi poprzecinali do krwi, gdy rękami chwytalem się brzegów wanny. Nie wiem skąd dostałem jakiś szatańskiej siły. Nie mogli mnie utrzymać bo byłem cały mokry, ręce i nogi wyslizgiwały się więc im. Jaka ja wyskoczę w końcu z tej wanny, jak złapie listwę z drabinki ułożonej na podłodze i tą listwą jak zacząłem gonić, aż uciekli. zainteresował się wtedy mną lekarz porucznik Sikora, który przyjeżdżał z Poznania i jemu podlegał cały ten szpital. To był normalny wojskowy. Chodził w czerwonym otoku. Dali mi w końcu ubranie, drewniaki i pojechałem do Wrocławia, do szpitala. Więzienie mieściło się chyba przy Łąkowej, drugie było przy Kleczkau, nad Odrą. Trafiłem do tego pierwszego, bo tam był szpital. Mieścił się w małym budyneczku. Siedziało tam dwóch lekarzy psychiatrów i zaczęli mnie wypytywać. A ja interesowałem się od młodych lat yogą i miałem w więzieniu cholernie piękne wizje. Jaki ja świat piękny widziałem. Miałem taką wizję: Tak jakbym leciał jakimś samolotem z Polski, nad Rosją nad Chinami i Cieśniną Beringa, z tym, że jej nie widziałem, bo ~~xxxxxxx~~ pomiędzy Alaską i Kamczatką była piękna tama. Myślałem tylko, żeby biegun północny zobaczyć, a on wyglądał jak malutki stożek lodu, tak jakby dla tradycji zostawiony. Miałem dziewczynę, bardzo ją kochałem, to wiedziałem, kiedy do mnie list pisze. I tym lekarzom opowiadałem te wszystkie moje wizje. Wysłuchali mnie i na celę odesłali do więzienia.

Przyjeżdżaa do mnie na widzenia siostra. Przywoziła papierosy tak, że mogłem porozmawiać. I znowu zacząłem udawać wariata ~~xxxxxxx~~ zacząłem bić się, to w drzwi barabanić, to taboret brałem, stawiałem na niego, wykręcałem żarówkę i palec wsadzałem w oprawkę i dzięki temu robiłem zwarcie i światło gasi-

łem. Kopnęło mnie przy tym, ale co to było za kopnięcie. Człowiek nie tyle dostał i wytrzymał.

Oko karca trafiłem za to. Oczywiście. przed karcem kazali mi się rozzebrać, kombinezon ułożyć w kostkę. Karc był szerokości dwóch metrów. Przykuli mnie do ściany. Zimno jak diabli w tym karcu - myślę sobie. No i dzisiaj to tego za skarby świata nie zrobiłbym, ale wtedy udało mi się. Zrobiłem salto przez głowę - nogi do tyłu - tak, że rękami stałem do ściany, bo oczywiście skuli mnie w ten sposób, że ręce miałem z tyłu. Stoję i zamysliłem się, że w pewnym momencie czuję jakby coś ze mnie wyszło i stoi obok. jakby rozdwojenie jaźni. Czuję to, że stoją przy ścianie a ze mnie duch wyszedł. W tym czasie przez szybę zagląda strażnik i momentalnie słyszę zgrzyt klucza w zamku. Strażnik stanął w drzwiach i pyta się: A gdzie ten drugi? - a więc widział tę jasność co ze mnie wyszła. Jaki drugi? - udaję głupiego - Co pan. Tu straszy CHYBA w tej celi - Czekał ty - pomyślałem sobie od razu - bo przyszedł mi do głowy pomysł. (ja tę jogę ćwiczyłem cały czas jak siedziałem na pojedynkach. Nawet w Białymstoku jak siedziałem to ćwiczyłem. O tym to ja jeszcze przed wojną czytałem). I ten strażnik ^zpośedł sobie. Ale już koło mojej celi krąży. A ja wtedy zrobiłem te salto i krzyczę: Płanie klawisz, straszy w tej celi. Odkujecie mnie od tej ściany czy nie. - Strażnik przyszedł więc, odkuł mnie od takiej klapy, która wystawał ze ściany, ale kajdanki na rękach ^{też} zostawił mi. Ręce ~~więc~~ przodu. No, teraz już cieplej mi będzie - pomyślałem.

Co prawda w celi było małe okienko ale nic nie było widać, tylko żarówka była. Łaziłem rękami po podłodze, łaziłem aż znalazłem kawałek łyżki ułamanej. kajdanki były starego typu, a że znałem się trochę na mechanice i podważałem, podważałem aż

podważyłem sprężynę, odgięłem najpierw jedną część, a potem drugą i kajdanki zdjąłem. To teraz ja wam zrobię jeszcze jedną komedię - pomyślałem. Po obu stronach karca były dwa podesty, na górze zrobione z desek. Macałem rękami po cienku, aż udało mi się podważyć kajdankami jedną deskę i patrzę - gwoździe wychodzą. Odciągnąłem deskę i ~~siadłem~~ wszedłem do środka wsadza-
jąc deskę na poprzednie miejsce. Tak jakbym zginął.

Przed apelem poranny strażnik zobaczył, że nikogo w celi nie ma i już leci na górę i robi alarm. Drzwi celi zostawił otwarte. Przybiegają 6-ciu czy 7-miu, w tym naczelnik. Strażnik opowiada, że coś mnie tu przerzuciło, że dwóch było w celi. Obok naczelnika jego zastępca ~~siadł~~ starszy sierżant - warszawiak. fajny chłop. On tam krzywdy nikomu nie zrobił. Stoi i głową macha. Gdzie on może być? - zastanawia się naczelnik ^{na} a głos.- Już ja mu daruję wszystko, tylko gdzie on może być? - A ja w tej skrzyni odzywam się: Słowo? - Słowo - mówi naczelnik - wyłaź, gdzie jesteś? - Odepchnąłem tę deskę w szczycie i wyłażę. - Niech cię diabli . Pamiętaj ty, jak ty jeszcze raz będziesz mi straszył moich oddziałowych to ja z tobą inaczej postąpię. - Darowane będzie wszystko naczelniku? To nie bądzę straszyć. - A ja, jak popadałem w ten trans, to moje oczy tak błyszczwały, jakby promieniowały, to jeden z oddziałowych pytał się mnie: Co ty masz w oczach, że na ciebie nie można na ciebie patrzeć, bo przeszkadza. - Pan Bóg obdarzył mnie taką mocą - odpowiedziałem. A co miałem mówić. - No i poszedłem do celi. Ubranie i drewniaki pod pachę i nago pod celę. Akurat śniadanie było i kawę i chleb roznosili. Ale kajdanki zabrałem ze sobą. Schowałem je pod ubraniem, które trzymałem na ręce. Wszedłem do celi, a oddziałowy z tego piętra spojrzał na mnie i mówi: A gdzieś ty byłeś? - W piekle - odpowiedziałem. Wchodzę do celi a tam siedziało dwóch jeszcze

i jeden mówi: O Boże, jak ty wyglądasz? Gdzie ty był? - To chyba wiecie, gdzie ja był? W karcu. - A ja brudny byłem od tego piachu i kurzu jak nieboskie stworzenie. Zaraz się umyłem i zaraz śniadanie. Podchodzi oddziałowy, ja też podchodzę z miską po kawę i chleb, wyjmuję kajdanki i mówię do niego: A to panie oddziałowy na deser. - Spojrzał na mnie jakbym był z innego świata i wystękał: ~~xxxxxxx~~ Ojej. -

Od tej pory uspokoili się we Wrocławiu. Potem zawieźli mnie spowrotem do Wroniek. A w aktach - wiadomo - napisane. I tu znowu zaczynają mnie znowu szykanować. Stłukli mnie, włożyli kaftan bezpieczeństwa i wwalili do celi, pojedynki. W celi tylko stolik drewniany i taboret. A Boże kochany - pomyślałem sobie - za jakie ja grzechy muszę tak cierpieć. Obejrzałem więc uważnie stolik dookoła i zauważyłem, że w jednym miejscu gwóźdź wystaje. Zaczepiłem rękawem o ten gwóźdź i rozerwałem rękaw. Jak jedną rękę wyciągnąłem to z drugą i resztą już poszło mi łatwo. Akurat było to przed popołudniową "uborką" czyli wystawianiem kibli. Boże, czego ja mam się męczyć - myślałem cały czas - Nie mam żony, nie mam dzieci Matka, siostry, bracia popłaczą trochę i zapomną. Dosyć mnie tego życia. Wyciągnąłem z tego stolika taki na 6 i pół cm prościutki gwóźdź, przeżegnałem się, postawiłem ten gwóźdź na sztorc na podłodze, którą stanowił asfalt, i na kolana ukląknąłem i sobie wbiłem ten gwóźdź w czoło. Myślałem, że już tak na tych kolanach zostanę. Wstałem z tym gwóździem w czole i stoję, ale tak jakby przez moją głowę coś przeszło. Takie wrażenie miałem. Oddziałowy otworzył drzwi, spojrzał na kibel, nachnął rękę: A... powiedział ale nie dokończył bo zobaczył, że bez kaftana jestem z x czoła wystaje główka gwoździa, bo wbiłem go prawie do końca. On biegnie i mnie na izbę chorych do szpitala. To było gdzieś po południu, bo "uburka" jest o

zawsze o 4-tej po południu. Prześwitali mnie. Zobaczyli, że gwóźdź jest faktycznie i wepchnęli mnie w taką klinkę, że mogłem tylko stać. Myślę - ~~xxxxxxx~~ wykończę się - i odnawiam odruchowo modlitwę. To przyszli po mnie dopiero między 3 a 9-tą wieczorem. założyli mi pas z kajdankami, tak, że ręce miałem oddzielnie przykute do tego pasa i załadowali mnie do karetki. Położyli na nosze, a obok mnie siedziało dwóch z automatami wymierzonymi we mnie. W tej sprawie pewnie musieli skontaktować się z Warszawą. I tak pod automatami zawieźli mnie do polikliniki. Tam już czekał na mnie dyrektor polikliniki. jak on zobaczył, że ja skty, jak rzucił się na tych strażników to myślałem, że ich pobije. Zdjęli mi kajdanki. Siostry pytają się: Czy do kąpieli? - Co wy dziewczyny, toż on z takim gwoździem w głowie. Na separatkę. Zaprowadzili mnie tam. leżą sobie i okazuje się, że nie ma odważnego chirurga, który by mi zrobił operację. W końcu zgodził się doc.dr Borszewski z miejskiego szpitala. Przyszedł do mnie w nocy, zbadał mnie i pyta się: To jak się szujesz? - Aaa, panie doktorze, mnie nie zależy już na życiu. - No będziem operować ciebie - Panie doktorze, niech pan sobie operuje, jak sobie chce, mnie nie zależy na tym.

Na drugi dzień wzięli mnie na operację. Zimno na tej sali operacyjnej, bo tylko pod prześcieradłem leżę. Krew zaczęli mi podawać. Nie wiem ile tej krwi mi podali no i na żywca. Tylko miejscowe znieczulenie. To myślałem wtedy, że moja głowa z jakiegoś granitu albo z skały. Najpierw rozciął mi skórę nad oczami i porozchyłał te płaty, wziął młotek i zaczął stukać w dół dookoła tego gwoździa. Normalnie trepanację czaszki mi robił. Potem jeszcze jakąś piłą przejechał dookoła i wyjął ten gwóźdź. . zszyli i założyli opatrunek - cały czas dostawałem kroplówkę, bo strasznie pić mi się chciało. I z powrotem na

na separatkę, a tu już klawiszy nie ma. milicjant jest bez bro-
ni. Siedzą, a mnie pić się chce jak nie wiem co. Milicjant
gdzieś wyszedł, więc ja z łóżka wstałem i idę na przeciwko do
łazienki. Sam Kran odkręciłem i wody się napiłem. W tym czasie
z dyżurki wyszedł dyrektor i zobaczył mnie: Siostry! - jak nie
wrzaśnie. zanim siostry nadbiegły to ja już w łóżku byłem. Przy-
szedł i xopierniczył mnie: Co ty? - Panie doktorze, mnie nie
zależy. - Toż my ciebie dla kostuchy zabrali. - To co z tego?
A jak ja chcę umrzeć? - Nie umrzesz! Dzieciaku. ty miałeś jedną
połówkę mózgu przebitą i w drugiej połówce mózgu siedział ten
gwóźdź. Jakim cudem ty przeżyłeś? Chyba łaskę u Boga masz, że
żyjesz.

Po tej operacji dostałem zapalenia płuc i opon mózgowych.
Zabrali mi poduszkę, żebym prosto leżał. Dwa razy punkcję mi
robili. Wstrzykiwali dordzewniowo streptomycynę. Żadnych halu-
cynacji nie miałem jednak. Po zapaleniu opon zrobił mi się du-
ży obrzęk na czole nads oczyma, tak, że szwy mi powychodziły.
Ten wypadek z gwoździem był 12 czy 15 stycznia 1955 r. W szpi-
zalu tym leżałem ze trzy tygodnie.

Jak już dobrze się czułem, gdy wszystko było w porządku,
przyszedł do mnie prokurator z wojskowej prokuratury i zrobił
przesłuchanie i wypytywał się mnie o tych wszystkich strażników,
którzy mnie torturowali. Potem zawieźli mnie ~~na~~ na taką salę
konferencyjną. Pułkowników i majórow było tam do cholery. U-
siadłem na przeciw tego stołu prezydialnego i zeznawałem jako
świadek No i podobno, ten co tak się nade mną znęcał to dostał
3 lat, bo to nie pierwszy wypadek podobno był, że ktoś przez nie-
go chciał popełnić samobójstwo.

Po tym przesłuchaniu powiedzieli mi, że mają mnie wysłać do
jaiegoś szpitala czy sanatorium, bo to niespotykane, żeby z cze-

goś takiego wyjść. Ten doktor Borszewski to zrobił na moim przypadku pracę doktorską,

Przewieźli mnie z powrotem do więzienia. Minął jeden dzień, drugi, cały tydzień w końcu - nic nie robi się, no ta ja miski na korytarz i kubek i głodówka. Przestałem się też odzywać. Nie z wami nie będę rozmawiać - pomyślałem i w ogóle nic nie mówiłem. Nie rozmawiałem aż do kwietnia. Po głodówce więc przenieśli mnie na izbę chorych. Tam tylko jeden lekarz wiedział, że ja mówię, no i prokurator. Ten jak chciał mnie przesłuchiwać to naczelnika wypraszał z gabinetu. Pisz do mnie o warunkowe - mówi do mnie prokurator. - Nie będę pisał. Łsaki nie będę prosił - powiedziałem. No to on sam napisał przy mnie.

Jak ja przestałem rozmawiać to całe więzienie, cała obsługa wiedziała, że ja niemowa jestem po tej operacji. Przychodzą po mnie któregoś razu w kwietniu: Maliszewski Marian, wychodzić! Wyszedłem. prowadzą mnie do magazynu. Dają mi odzież, każą mi ubierać się. Ubieram się, ale nic nie odzywam się. Prowadzą mnie do administracji. Śistek o zwolnieniu mi dali, jeszcze 200 zł na drogę. Miałem jeszcze taką brązową czapkę studencką z mechanika z krótkim daszkiem, założyłem ją na głowę. Do widzenia - powiedzieli. Ukłoniłem się im, nie odzywam się jednak dalej. Wychodzę na korytarz i stoję pod kratą, a między kratami stoi strażniczka. A ja stoję i nie odzywam się. Nareszcie wychodzi baba z administracji i woła: A co ty jego nie wypuszczasz? - A czemu on nic nie mówi? - To ty nie wiesz, że on niemowa?. Wtedy ona otworzyła jedną kratę, drugą kratę i idę do głównej bramy, Tu już był strażnik, który wiedział, że ja niemowa i otworzył mi ~~xxx~~ futtkę. Wyszedłem na chodnik i rozglądam się za siebie, czy nikogo nie ma z tyłu. Zaraz obok przystanek tramwajowy był. Szybszym krokiem podszedłem, bo akurat tramwaj podjechał. Wsko-

czyłem do niego i pojechałem do polikliniki. Podziękowałem siostrą. I na dworzec. Akurat to było po Wielkiejnocy. Przyjechałem do Białegostoku.. Wsiadłem w PKS i do Choroszoczy, i stamtąd pieszo do Żółtek. Wsiadłem przy szpitalu w Choroszoczy i idę do Żółtek. Po drodze spotkałem ojca. Do pracy jechał Przywitałem się: To już wróciłeś? - Wróciłem - powiedziała i śmieje się. Jedź, to jeszcze całą rodzinę w domu zastaniesz bo to po świętach. Zostałem siostrę najstarszą, szwagra. I tak wróciłem.

Ten gwóźdź jak wbijałem sobie, to bolało tylko gdy przerywał skórę, a jak w czaszkę wchodziło to jak w masło poszło. Jak była ta operacja to doktor tylko powiedział: Marian - bo on d mnie po imieniu - jak będziesz się źle czuł to ręką albo nogą daj znać. Oni ~~xxxxxxx~~ filmowali całą tą operację czy co. Wiedziałem tylko, że jacyś asystenci siedzieli na balkonie. Wszyscy dziwili się, że ja przeżyłem. Być może ocaliło mnie również i to, że gwóźdź był czyściutki, bez rdzy. Siedział przecież w desce wbity po sam łepkę.

Od tych czasów źle się czuję w murach. Najlepiej jest wtedy jak jestem na działce. Powietrze tam inne.

Jeszcze wracając do tych białoruskich wiosek to dopóty byliśmy na kwaterze to gospodarze też byli. Gdy wymaszerowaliśmy to kaźdzaliśmy im iść do środka wsi, do tego domu. Tak było w Zaleszanach. Nigdy nie słyszałem, chłopaki nic takiego nie mówili, żeby dziewczyny były gwałcone a dzieci wrzucano do ognia. W tych zaleszanach to kwaterowaliśmy a resztę to po drodze spaliliśmy.

"Wis" Kozakiewicz to był z łap. Natomiast ten drugi "Wis" od "Wiarusa" to nie był u nas. "Nałęcz" Nartowicz zginął na gronzie w Rzędzianach.

Nauczycielki w Rzędzianach zabili wtedy gdy jeszcze byłem w domu i pomagałem ojcu. O śmierci "Wiarusa" dowiedziałem się, gdy siedziałem. mama przyjechała i szepsem powiedziała mi o tym.

Jak z "Dziadkiem" chodziłem to on jak wchodził do jakiegoś mieszkania to zawsze w ręce trzymał pistolet. Niaraz rzeczywiście zmuszał gospodarza, żeby dał nam kwaterę i jedzenie. "Dziadek" kilka razy zostawiał nas we dwóch czy trzech. Kilka razy tak było. "Cygah" na jednej kwaterze na święta Bożego Narodzenia 1948 r. to został ze 3 tygodnie, bo chory był. Lekko chodził ubrany. Myśmy wtedy chyba u Zubryckich byli.

Ten co mnie postrzelił niechocząco w kolano, gdy byłem na kwaterze razem z "Gryfen" to był w oddziale "Burego" ale nie mogę sobie przypomnieć jego pseudonimu.

To nie prawda - co piszcze w akcie oskarżenia jednego z naszych meliniarzy, że "Dziadek" popełnił samobójstwo. Dostał serię na moich oczach.

U Adamskiego Józefa to często bywaliśmy. Spółdzielnię w Kruszewie to musieliśmy zrobić, bo z czegoś trzeba było żyć. Przynieśliśmy do niego te rzeczy: pantofle damskie, pończochy, bo przecież nas żywił. To była taka nasza zapłata dla niego. Zachodziliśmy do niego, bo i "Dziadek" i X Adamski lubili wypić. "Cygah" z kolei kręcił się koło córki Adamskiego. Używał sobie z nią. Potem jak wzięliśmy parę rzeczy od Walińskiego z Żółtek, to "Dziadek" chciał go zastrzelić za to, że on prawosławny, to gdzie to w mojej wsi, znam ich. Nie pozwoliłem. To syna wypuściłem - syn wybiegł - a do jego ojca zaczął skakać z pistoletem. Odciągnął już kurek: Coś ty, w mojej wsi ludzi będziesz strzelał. Zwariowałeś. Co Bogu ducha winien człowiek - to potem na rozprawie Waliński (Woliński? - J.K.) świadczył na moją korzyść I taki z Kruszewa Korpacz też świadczył na moją korzyść. To zen

co pistolet mu zabraliśmy i ja nie dałem dla "Dziadka" zastrze-
lić go. Kupę dzieci miał.

U tego Adamskiego to najczęściej zatrzymywaliśmy się, bo u
niego bezpieczniej było jak gdzie. Z jednej strony Złotia, la-
sek, Łąki A ta wioseczka tylko kilka domów miała. U niego spędzi-
liśmy Wigilię 1948 r. Adamski na cökę zwał.

"Żelaz^{ny}" zanim przyłączył się do nas to sam się ukrywał. Przed
ujawnieniem należał do WiM-u. Dołączył do nas na jesieni 1948 r.
i w styczniu- 15-go, został razem z nami aresztowany.

Jak zrobiliśmy tę spółdzielnię w Kruszkowie to najpierw po-
szukaliśmy kierowniczkę sklepu. "Dziadek" przystawił jej pisto-
let do głowy i poszła z nami i otworzyła sklep. Łąki nie robi-
ła.

Z "Młotem" po aresztowaniu "Gryfa" nie spotykaliśmy się, bo
gdzieś zginął.

Ja chodziłem ubrany w kurtkę mundurową a pod spodem nosiłem
krótką bluzę - eisenhawerkę. "Dziadek" chodził po cywilnemu, a "
"Cygan" chodził w battle^e drsie. Do siebie to mówiliśmy po imie-
niu. Pseudonimy to po prostu tylko były z dawnych czasów.

W więzieniu spotkałem Borowskiego Edmunda "Wrzosa" ze sprawy
"Gryfa". Pochodził z Rogówka. W rawiczu spotkałem go jak wycho-
dziłem na spacer. Siedział w sąsiedniej celi. Często spotyka-
liśmy się w bo to Rogówek leży na przeciwko Babina. Zmarł nie-
długo po wyjściu na wolność. Bobrowski Adam dobrze z nim żył. Już
jak go aresztowali to chyba miał gruźlicę, czy co. Stał taki blade
i chudy. Przeważnie był w siatce, ale ukrywał się.

Jak siedziałem we Wronkach to w celi mojej było 6-7 ludzi.
Było przyjęte, że każdego wieczora każdy opowiadał jedną prze-
czytaną przez siebie książkę. Najwięcej wykorzystywało się ta-
kich, którzy ajwięcej książek przeczytali. Kładliśmy się spać
po godzinie i wtedy opowiadaliśmy sobie książki.

po apelu i wtedy opowiadaliśmy sobie książki. No i ja miałem taki zwyczaj, że jak miałem opowiadać, to zawsze poprzedniego wieczoru przygotowałem sobie plan opowiadania i opowiadałem książkę rozdziałami, tak jakbym ją czytał normalnie. I był taki wypadek: Marian z kieleckiego - siedział za NSZ - usiadł przy mnie i mówi: Ty Marian, nie opowiadaj tego na głos tylko przygotuj to sobie w pamięci, to ja to widzę jakby oglądał na filmie. To bardzo mnie zastanowiło. Dlaczego? spytałem. - Nie wiem jak inni ale jak ty opowiadasz to ja ciebie i słyszę ale i widzę.

W Rawiczu natomiast jednego razu opowiadałem "Pożary i zgliszcz" Rodziewiczówny. Książka kończy się dosyć dramatycznie. Wtedy jeden taki kapitan AK mówi do mnie: Słuchaj Marian, może być inny koniec wymyślił - O, jak najbardziej - odpowiedziałem i dawaj sobie fantazjować. I wtedy skojarzyłem sobie, że opowiadałem przecież ~~właśnie~~ "Dawajtis" Rodziewiczówny. Ja lubiłem opowiadać książki. Już w czwartej klasie przeczytałem "Wierną rzekę rzekę". Rodzice nie bronili a miałem taką chrześną matkę. Lubiła książki czytać i jak tylko miała coś ciekawego to podrzucała mi. Na wsi to bardzo rzadko zdarzało się żeby w domu czytano książki. A u nas w domu było 8-mioro dzieci: 4-ech braci i 4-ry siostry. Gospodarki nie mieliśmy. Moja matka to pochodzi z Nieświeża z Wileńszczyzny. Tatuś jak służył w carskiej armii to stacjonowali właśnie w Nieświeżu. To była jednostka artylerii, a ojciec lubił jak mu buty się świecą, wszystko zresztą. Jednym słowem pedancki był. Nie pozwolił, żeby matula wyprała jemu chusteczka do nosa albo co. Sam zawsze. Buty oficerki wyczyszczone tak, że aż się świeciły. Tam poznał ją i przyjechali tu. Pierwszy syn, gdy bolszewicy uciekali w 1920 r., zachorował na krwawą dysenterię i zmarł. Ojciec ukrywał się przed bolszewikami

na łąkach w stogach siana ale tak i tak aresztowali go. To było w 1928 r. Jak zabierali go ze sobą to mamusia dała mu bułkę chleba i kawałek słoniny. Poprowadzili go na Białystok. Byli już między Łyskami a Nowosiólkami, ale Ruski ogląda się tak na ten chleb, ogląda. Ojciec mówi: Co chcesz? - oddał mu ten chleb i słoninę, a Ruski powiedział: Ty stępuj damoj - i tak ojciec wrócił do domu. Ojciec to wiedział co może się stać bo w czasie rewolucji u nich był w Korpusie Dowbora-Muśnickiego.

Jak przyszli w 1939 r. to ojca jakoś nie czepiali się. Chyba nic nie wiedzieli o tym, a poza tym ojciec miał za dużo przyjaciół we wsi. Od nas ze wsi nikogo nie wywieźli, a przecież połowa jej mieszkańców to Białorusini a druga połowa to Polacy. Tak, że wieś w porządku była.

Jeden sąsiad to podrzucił nam książkę oficera carskiej armii o tym jak żołnierzy szkolić itp. Taka gruba książka. I u nas w 1940 r. był na kwaterze taki starszy gość - politruk. Tę książkę znalazłem podrzuconą za chlewkami i przyniosłem ją dla tego ruskiego. On często lubił rozmawiać z ojcem, bo ojciec dobrze mówił po rosyjsku. I ja od niego, tego oficera, bardzo szybko nauczyłem się mówić dobrze po rosyjsku. No i poszedłem on do koszar a ja przewracam tę książkę. I patrzę, a w środku podpisane: Dubatowka, stary już podpis ale jeszcze widoczny. Dalej to smo. No i jak ten oficer przyszedł to mówię jemu i pokazuję: O Dubatowka, Skuroczybyk podrzucił tę książkę. Mieszka po drugiej stronie ulicy. Jego spolszczone nazwisko brzmiało: Dubatowski. I wtedy już ten oficer nie miał żadnych zastrzeżeń do mego ojca, bo wcześniej to rochę się czepiał. A Dubatowski temu podrzucił tę książkę, bo bał się, żeby nie wywieźli bo już słyszało się, że tu wywieźli, tu wywieźli. Nauczycieli z Choroszoczy wywieźli, policjantów powywozili, to bał się trzymać tę książkę w domu.

Bo sasm był oficerem w carskiej armii.

Łyski to znam jak własną kieszeń. Gdy wróciłem z Prus w 1945 to słyszałem w 1946 r., że tę rodzinę Borsuków zlikwidowali za współpracę z Niemcami. W Żółtkach to "Gryf" zastrzelił takiego miejscowego, który za okupacji był w żandarmerii niemieckiej. Na moście go zastrzelił. Ten gość specjalnie Polaków się nie czepiał, jeździł po prostu z Niemcami. Akcja była przeprowadzona w 1945 r., gdy "Gryf" był już w NZW.».

Na przełomie 1942/1943 wstąpiłem do AK a już w lutym 1943 r. zabrali mnie na roboty. W 1941 i 42 r. sporo broni dostarczyłem do Dzikich bo jak » Sowieci uciekli w 1941 r. to u nas sporo broni na polach zostało: karabiny maszynowe, czołgi. W Dzikich Markowscy odbierali ode mnie tę broń. Zawsze parę złotych jeszcze dali, żeby zachęcić do dalszego zbierania. Jestem z 24 rocznika, tak, że w 44 r. miałem już 20 lat.

W 18939 r. Niemcy pokazali się po tamtej stronie moxwatu i wycofali się. Cisza była. W Żółtkach na Narwi była obrona i w Choroszcy w parku. Cekaemy i erkaemy ustawione były. To byli ci co wycofali się spod Łomży i od Raginisa. W Żółtkach okopali się i bronili się. No i któregoś razu porucznik - kierownik szkoły w Tykocinie - mówi do nas: Chłopcy, Karol Borkowski jedzie tam po papierosy i wódkę na cegielnię do Złotorii, to wy razem pójdziecie na okopy, i zobaczycie czy Niemcy są tam czy nie. Most spalony był. Od ~~xxx~~ strony Żółtek było stanowisko erkaemu, trzech żołnierzy. My wiedzieliśmy gdzie czółno było schowane. Przewieźliśmy tego Borkowskiego na drugą stronę, razem z nim był jego baratanek - Tadeusz Borkowski, i on pojechał po te papierosy. Czekałem w tej łódce ale pomyślałem sobie: trzeba pójść i zobaczyć. I poszliśmy ~~xxxxxxx~~ z chłopakami te stanowiska niemieckie. To były takie płytkie, na kilkadziesiąt centymetrów w głąb

ziemi, stanowiska. Łusek niemieckich nazbieraliśmy.

Wyszliśmy na szosę, żeby wracać nad rzekę a tu patrzymy, że Borkowski jedzie rowerem i kręci jak tykalko może, a za nim gną trzy motocykle niemieckie. Krzyknąłem do Borkowskiego (młodszy): Czekać na wójka a ja pójdę i czółno przyszykuję. ~~xxxx~~ ~~xxxxxxx~~ Niemcy zatrzymali się, zdjęli erkera z motocykla i wołają do nas: Kom hier, kom hier. Schowaliśmy się za stóg, a ten jak nie zasunie po nas serii z erkaemu to aż ciepło się zrobiło. Spojrzeliśmy na polską czujkę, która była po drugiej stronie mostu i pokazujemy na tych Niemców. Kanonada się zaczęła. Nasi ~~xxxx~~ z Żółtek i Choroszcy wzięli Niemców w krzyżowy ogień. To jeden motocykl został, drugi trochę podjechał i też został a trzeci uciekł, a Niemcy tylko fikołki przez burty robili i chyłkiem, chyłkiem uciekali w dół. To my jak na początku mieliśmy stracha to teraz zaczęliśmy się już cieszyć, że Niemcy uciekają.

Najpierw wyszedł z kryjówek z rowerem Borkowski Karol - w trawie się schował, a my za nim i podeszliśmy do żołnierzy: Czemu tak mało strzelaliście - pytam się ich - Bo nic nie widać - odpowiedzieli. Bo od strony Złotorii topole były, które dopiero teraz ogniem pościnali.

Poszliśmy do Żółtek. Przy szosie stał budynek, w którym przed I-szą wojną światową była część fabryki Mousa z Choroszcy. Schowaliśmy się za szczyt, tak, że od strony szosy nie było nas widać, a porucznik mówi: Co, gorąco było?

Tego dnia jeszcze nasi się bronili, ostrzeliwali. Na drugi dzień przyszedłem tu z Marianem Szafrzańskim - był z mego rocznika - u nas w ziemniakach na ogrodzie stał plutonowy i oglądał teren przez lornetkę i mówi: Chłopcy, nogi za pas, bo tu zaraz będzie gorąco. - On tylko zdążył to powiedzieć, a tu tiiuuu -

nad głowami przeleciał pocisk. Artyleria zaczęła bić. Prosto przez pola na Dzikie uciekajcie - mówi do nas ten plutonowy. Wiesz co Maszrian? - powiedziałem do kolegi - lepiej biegnijmy za stodołami to nie będzie widać nas ze Złotorii. Już zaczęliśmy się wycofywać a tu znowu tiiuuu - przeleciał pocisk. Upadliśmy do rowu. Wyglądamy a pocisk upadł może ze 2-3 metry od tego miejsca gdzie byliśmy w tych ziemniakach. Dwa pociski w to miejsce. No to my biegiem za stodołami. Dobiegliśmy do połowy wsi i widzimy, że już na środku wsi od rzeki - we wsi nazywaliśmy to miejsce "podrekne" - i widzimy, że już domy z tej strony palą się. Przebiegliśmy koło tego czym prędzej, potem przez pole gdzie były wykopane doły na ziemniaki i dobiegliśmy do wąwozu, gdzie rosły olszyny. Patrzymy, a tym wąwozem wycofują się już nasi żołnierze. Wtedy my do Dzikich, on do swego domu a ja do swego. Akurat wrócił tatuś. Doszedł do Hajnówki czy do Wołkowyska, bo był zmobilizowany do służby drogowej. Był specjalistą budowy mostów. Od razu powiedział: Ty się nie ciesz i nie witaj tylko ~~xxx~~ klamoty na plecy i uciekamy stąd, bo zaraz będzie ostrzał. Tylko to powiedział już kilka pocisków rozerwało się niedaleko nas. Szrapnele. To my do drugich Dzikich. Tam przeprawiliśmy się przez rzekę - cała rodzina łódką - i do Dobrzyniewa na kolonię. W tym czasie to Żółtki to już tak się paliły, że aż strach. Akurat nadeszła od strony Złotorii burza z piorunami. Deszcz taki lał, to może i przygasił ten pożar. Na kolonii przenocowaliśmy i na drugi dzień już spokój, a nas było przecież 7-mioro dzieci. Jedną dziewczynką to jeszcze u mamusi na rękach była.

Z Dobrzyniewa przechodzimy przez przejazd kolejowy do Jaworówki a tu po torach podjeżdżają do nas na motocyklach Niemcy. Normalnie motocyklami po torach jechali. Halt!, Halt! - zatrzymali nas i zaczęli pytać, a my ani ne ani be po niemiecku. Wszystko

szone. Siostra Tereska miała ze sobą metalowy krzyż. Niemcy zauważyli go i zaczęli pokazywać go sobie i puścili nas. W ten sposób przez łąki przeszliśmy do Dzikich. Tam były domy letniskowe, w których przed wojną wypoczywali Żydzi przeważnie z Białegostoku. Przyjeżdżali tu na letniska. Były to duże, eleganckie domy. Dzisiaj w takich możnaby spokojnie mieszkać, bo to normalnie domy z dyli a nie domki kepingowe. No i w jednym takim domu zostaliśmy. Pójdę do Żółtek zobaczyć co tam słychać - powiedziałem mamie. Nie idź bo jeszcze cię Niemcy zabiją. - Nie posłuchałem się jednak i poszedłem. Patrząc dom spalony, po sąsiedzku też. Prawie codziennie z Dzikich przychodziłem do Żółtek razem z Mańkiem Szafrąskim. Ja z nim to prawie jak dwaj bracia.

Niemcy szybko zrobili most ponotnowy przez Narew. Jednego dnia zatrzymała się przy nim długa kolumna. Jechała na Białystok Bomby lotnicze, amunicja - to wieźli. To było jakieś dwa czy dni po tym jak przyszli. Stoimy tak z Mańkiem przy jego domu i przyglądamy się tej kolumnie gdy nagle nadleciał samolot. Jeden Niemiec mówi: Das ist uns, das ist uns. A ten samolot wypadł zza mostu, zza górki, zza Złotorii i jak nie zaczęli pruć po tych samochodach, to Niemcy zaczęli uciekać i kryć się. Masz teraz nasz - pomyślałem sobie, bo rozumiałem co powiedział. Samolot trafił beczki z benzyną, które fruwały wyżej od topoli, które rosły wzdłuż szosy i jeszcze carskie czasy pamiętały. Trzy samochody się zapaliły. Ich kierowcy chyba się spalili. Całe szczęście, że samolot nie trafił w samochody stojące pod topolami bo tam były pociski, bomby. Cała wieś by poszła wtedy. Te ciężarówki potem po prostu zepchnęli na dół. Kolumna liczyła ze 150 m długości. Jak ludzie potem opowiadali to że samolot ten podobno zestrzelili Niemcy gdzieś za Białymstokiem. To był

polSKI karaś. Znałem się na tym bo byłem w kółku modelarskim przed wojną i w Orłętach. Tylko ostrzelał ich z broni maszynowej. Jak starsi ludzie opowiadali to samolot ten stał gdzieś na łąkach gdzie krowy były wszystkie wygonione i nie miał benzyny. No i w jakiś sposób zdobył tę benzynę. Ten sam samolot podobno ~~xxxxxx~~ zaatakował kolumnę niemieckiej piechoty pod Nowosiólkami. 12-tu czy 13-tu zabił. Potem w 1940 r. w ramach porozumienia sowiecko-niemieckiego, to ich ekshumowali. Niemcy przyjechali specjalnie w tym celu. Zimą to było. Tak ludzie mówili. W Jezewie też były ich groby.

W 1940 r. to Ruskie zmusili do lądowania niemiecki wojskowy samolot, który pojawił się tutaj. Wylądował pod Choroszczą na łąkach. Myśliwce ruskie nadleciały ostrzeżkały go i musiał lądować. Pilota wzięli na przesłuchanie. To ze szkoły w Choroszczy biegali. my na pole przyjrzeć się mu. Widziałem na skrzydłach dzioury po kulach. Pewnie był to lot zwiadowczy bo w Białymstoku było duże lotnisko. Ruscy je x rozbudowali x i skanalizowali że ~~xxxxxxx~~ ho ho. To był Messerschmit. Wylądował w Porosłach na przeciwko miejsca gdzie Szosa Północno-obwodowa łączy się z szosą warszawską. Samolotu pilnował strażnik w "szłomie" jak to nazywali, z czubem, na nim niebieska gwiazda i pilnował. nam dzieciom pozwalał zaglądać do środka, na skrzydła wchodzić. Rebiata nielzia, nielzia - krzyczał ale nie reagował. Po jakimś czasie samolot zniknął. Pewnie Sowietci odtransportowali go a potem oddali Niemcom, skoro mieli z nimi porozumienie.

Któregoś dnia września Niemcy nagle wyjechali. Wychodzę ja wieczorem za chlewki załatwić się patrzę: jedzie kawaleria, myślałem, że to polska kawaleria, bo słychać jeszcze było strzały gdzieś jakieś bitwy były, walczyli. Nieraz było słychać strzały artylerii. Patrzę: jedzie czterech. No byłem przekonany, że to

śpolska kawaleria. Malczik!, Malczik! - usłyszałem nagle. Zdziwilem się, bo nie wiedziałem co to oznacza. Padażdi, & padażdi. Zatrzymałem się. Wszyscy w "szłomach" z czubami. Czerwone gwiazdy naszyte. Pokazuję na ojca i mówi: Tam ojcie, on po rosyjsku umie to będzie z wami rozmawiał, ja nie rozumiem. - No i oni za mną wjechali na podwórze. tatusiu - mówię - tutaj jacyś żołnierze. Nie rozumiem co do mnie mówię. Tato zobaczył ich to przeztraszył się, ale wyszedł do nich. Ruskie pytają się czy Polaków i Niemców tutaj nie ma. Ojciec mówi, że już trzy dni spokoju.

Niemcy jeszcze przed swoim odejściem zdążyli postawić ^{stały} most na Narwi. I chyba tam miała być początkowo granica, bo most ten po środku udekorowany był ich flagami i postawili tam posterunki. Na drugi dzień śladu nie było po Niemcach i tych flagach i przez dwa dni nikogo nie było.

W 1918 r., jak rozbierali Niemców to ze Złotorii przeprawili się przez rzekę, tam rozbili posterunki i krzyczeli jeden do drugiego: Jurek Litwa nasza! - bo nas Litwinami nazywali, a Złotoria to już Polacy, szlachta, a my Żółtki to Litwini. Wtedy na moście rozbili posterunek i do Żółtek przyszli.

Na drugi dzień jak przyjechał ten patrol sowiecki mężczyźni zebrali się i radzą. & Teraz to nie ma tego co kiedyś: gospodarze pozbierają się, na ławce siądą, politykują, o gospodarce mówią, dziewczyny chłopcy pozbierają się na ławkach, śpiewają piosenki najróżniejsze. jak oprządzą się, ładna pogoda to co mają robić. Jeden siądzie, to zaraz drugi przyjdzie. Papierosem poczęstuje, czy machorkę skręci. Na drugi dzień poszedłem zobaczyć na te spaleniska jak to wygląda, bo ciekawa dzieciak byłem. Akurat jechał ruski samochód - Ford nie Ford. Jak stuknęli w rów to wszyscy pokoziołkowali. Gospodarze jeszcze pomogli wypchnąć im

ten samochód na szosę. To było rano a po południu już było pełno wojska. Okopy wykopali na wzgórku za wsią. Myśleli, że tu granica będzie. A tu nie. Pojechali i ponaszerowali dalej. A co oni jedli - o Jezu - kaszę jaglaną i rybne zupy, a chleb to taki czarny mieli jakby suchary pokrojone.

Po zakończeniu wojny w Finlandii w Choroszcy pojawiła się sowiecka jednostka wojskowa i tam stanęła na kwaterach w szpitalu. W Nowosiólkach zaczęli budować wojennyj gorodok. - wojskowe miasteczko. Koszary itp. W Żółtkach, w Dzikich, w lesie pełno ich było. W domach letniskowych mieszkali, namioty postawili. W tych domkach letniskowych początkowo mieszkali Żydzi, którzy ewakuowali się z pod niemiecką okupacją, ale gdy Ruscy kazali im pracować na torfowisku pod Dobrzyniewem to odmówili pracy i ich wszystkich wywieźli na wschód. Ja, jak chodziłem do dziesięciolatki sowieckiej w Choroszcy to mnie uczyła Żydówka z Łodzi. Uczyła polskiego. Bardzo dobra była. Lubiłem ją. Byłem wtedy w 7-mej albo 8-mej klasy. Razem ze mną do tej samej klasy chodził Maniek Szafranski, Rzędziński - syn nauczyciela, Średziński z Choroszcy - potem ich wywieźli. Jego ojciec przed wojną pracował w szpitalu. Chorych to wywieźli do Winnicy. Moja siostra transportowała tych chorych. To było w początkach 1940 r. Ona pracowała normalnie w tym szpitalu. Jak dojechała do Winnicy to kazali jej i innym wracać, a chorzy zostali. Część chorych została na plebanii u proboszcza w Choroszcy i potem jak Niemcy weszli w 1941 r. to rozstrzelali ich w Nowosiólkach. Tam leży siostry i mój kolega. Za Niemców był w konspiracji i został aresztowany.

Ja to jak nie umiałem po rosyjsku, to potem jak oni przyszli to byłem najlepszy w klasie z tego języka. "Otlicznik". Jak ten oficer co stał u nas na kwaterze naciskał mnie cały czas, żebym

uczył się. Rosyjskiego uczył Rudenko z Moskwy. Na jego nazywali "dziekałoczyk", bo jak nie miał wódki to perfumy pił. Religii oczywiście nie było. Na żadne manifestacje 1-majowe itp. ja nie chodziłem.

Był nałożony obowiązek przepracowania określonej liczby godzin przy budowie tego miasteczka wojennego. To ja i Marian chodzi- liśmy pracować za jego ojca. Nie na wiele może ja tam się przy- dałem ale kamienia zawsze jakiegoś przyniósł.

W budynku na terenie tego miasteczka stała rota saperów, i jak Sowieci uciekli to ja z Borkowskim Tadkiem popsześliśmy poszu- kać tam. Patrzymy tu karabin, tu karabin. Pochowaliśmy je po kątach. Cały teren tej jednostki był otoczony wysokim płotem tak że nie widzieliśmy co się dzieje na ulicy. A tam nadjechał jesz- cze jeden sowieci samochód. Weszli na teren jednostki i oficer złapał nas: Ну стрілаць буду. Szto wy s dieś dziełajecie? - a ja po rosyjsku bardzo dobrze, akcent pierwszorzędnym i skłamałem gładko: Ja oficera syn. - Ну wychadzicie stas - i wypędził nas. A my wysześliśmy i hodu stamtąd. Niemcy to nie interesowali się tym. To myśmy wynosili stamtąd przenajróżniejsze rzeczy. Apa- raty do mierzenia wysokości używane przez saperów, próbki ga- zów były w buteleczkach, ampułkach. Mój kolega znalazł taką bute- leczkę i wziął ją. Pisało na niej: Ipr. Zakorkowana była szkla- nym korkiem jak butelki w aptekach. Nosił to w kieszeni spodni. I wypaliło mu skórę na ~~xxx~~ udzie. Ojciec zaprowadził go do le- karza, ale ten nie za bardzo wiedział jak to się leczy. Hipek - - mówię do niego - przecież tam wala się pełno opatrunków przeciw- iperytowych, to trzeba tym smarować. W opatrunku takim była przeważnie gaza higroskopijna i płyn, nafta. No i on tą naftą zaczął smarować i wyleczył ranę, ale blizna mu pozostała. Zgi- nął w wypadku motocyklowym w Białymstoku gdy siedziałem.

Jak Niemcy przyszli w 1941 to zastrzelili Romańczuka z Żółtek. To był przedwojenny komunista, ale nikomu krzywdy nie zrobił. Zabrali go najpierw do więzienia, a potem rozstrzelali w Nowosiólkach. Ale to dużo później było.

Jak Niemcy przyszli to przy naszym domu stała jeszcze taka brama postawiona przez Sowietów na jakieś ich święto, wisiały tam portrety Lenina, Stalina, Woroszyłowa.

Tego dnia poszedłem właśnie do koszar do Choroszocy i wybrałem sobie dwa eleganckie Flowery. Jeden miał jasną, a drugi ciemną kolbę. Nowiutki były, jeszcze w smarze. Kieszenie pełne naboju. Lornetkę też znalazłem. Idę z parku na łąki do Żółtek i patrzę przez lornetkę a Niemcy przeprawiają się przez most po kładkach. No ta ja te Flowery schowałem w krzaki, lornetkę i naboje też i idę do wsi. Niemcy wchodzi do wsi elegancko umundurowani, rękawy zawinięte, uśmiechnięci. Jeden złapał za kamienia i w tego Stalina przeklinając go jednocześnie. Na drugi dzień bramę tę rozebrali na opał. Wtedy jeden Ruski poddał się im. Jakiś wojskowy. To nawet nie interesowali się nim. Z tyłu tam idą to zainteresują się tobą - powiedzieli mu i on poszedł sobie.

W Żółtkach Ruscy zestrzelili Junkersa. Jeden z pilotów wyskoczył na spadochronie a dwaj zabili się w samolocie. Ten pierwszy to zniesiony został przez wiatr z łąk aż za most. Gdy leciał na tym spadochronie to Ruscy może więcej do niego strzelali jak do tego samolotu. Podobnie przecięty był na wpół. To ja od tych zabitych lotników miałem jeszcze parabelkę. Zresztą przy moście była masa broni, którą potem zaxkapowyciągaliśmy.

Już po ataku Niemców, gdy wycofywali się to zaczęli u nas kopać na polach potężne okopy, trzy linie umocⁿⁱnień. Druga linia była oddalona od pierwszej linii okopów o 50 m. Probili tam gniazda karabinów maszynowych. Sani to wszystko kopali, bo ludzie z okolicznych wsi to pouciekali do lasu. Żadnych walk jednak tu nie było. Zestrzelili ten samolot i już następnego dnia

nie było tu żadnego Sowietą. Karabiny pozostawiali, cekaeny "Maximy" na kółkach w okopach. Postały kilka dni i zaraz znikły. Ludzie pochowali. Często były jednak pozabierane części, które uniemożliwiały strzelanie. W Nowosiólkach zostawili nowitkie T-34 z długą lufą. Ja z Mańkiem wleźliśmy do czołgu właśnie z taką długą lufą, obróciliśmy wieżę dookoła (W Nowosiólkach było ze 20 czołgów^a i rozłożone działa przeciwlotnicze, małe tankietki dwuosobowe z karabinami maszynowymi). - wtedy był odust Jana. Rodzina moja była wtedy w jaworówce. Często więc przychodziłem tam. Wybrałem sobie nrty^a, bo jak wrócili z wojny fińskiej to mieli ich dużo. - No i ja Mańkiem wleźliśmy do tego czołgu, obróciliśmy wieżyczkę w kierunku naszej wsi, wycelowaliśmy w kierunku grupy chłopów, którzy siedzieli na słońcu na ławeczce i politykują - baby w tym czasie chodzą i ciągną ubrania, nie ubrania z tych koszar, bieliznę, brali co tylko kto chciał, jak p pełno było wszystkiego w tych magazynach. Pytam się Mańka: To co robim? - Kiwnął głową. A ja wiedziałem już jak ładuje się pocisk do działa bo ojciec mi opowiadał. Był przecież rusznikarzem Nawet nauczyłem się dzięki jego opowiadaniom rozebrać szrapnel. I my wystrzelili. Jak ci chłopci dali chodu stamtąd. Wskoczyli. my z tego czołgu szybko, a chłopci zobaczyli, że to my i dawaj nas gonić, ale uciekliśmy im.

Któregoś razu znalazłem w koszarach lont i postanowiłem razem z Marianem wypróbować gox przy głuśzeniu ryb. Między Choroszczą a Rzuszczanami był cmentarz ewangelicki. Tam była składnica jednostki z Choroszcy ~~xxxxxxx~~ garłaczy. I ja stamtąd przynosiłem całe ich paczki po 8 sztuk. Woskiem oblane, stearyną. Nastawiało się je na czas: 10, 15, 20 sekund. Trochę proszu wysypywało się, zapałką podpalało się i rzucało się do wody. Oczywiście ojciec to nic nie wiedział co ja robię, bo jak rano po-

szedłem do Dzikich to albo przyszedłem na noc do domu albo nocowałem u Mariana. Rodzice jego nakarmili mnie i w porządku było. Latem to całymi dniami nad wodą byliśmy. Pontonów ruskich to do licha i trochę było. I 10-osobowe i 2-osobowe różne. Supraśl wtedy była czystotka jak kryształ. A jakie ryby były. No i któregoś raz dostałem skądś lont. Ja coś przeczuwałem, że z nim coś jest nie tak. A to był lont szybkopalny. Podłączyłem go do detonatora, lont ten miał może ze 12 ce. Tylko podpaliłem go a on wuh i ręka poszarpana. Z dwóch palców kość wystaje. Takie były skutki eksplozji w ręce spłonki, którą wyjąłem z kostki trotylu. Marian zawiązał mi rękę kawałkiem jakiejś ściereki i mówi: No zasuwasz teraz do Choroszcy. Najpierw pobiąłem więc z placem do domu i zaraz poprowadzili mnie do Choroszcy. A tam Niemcy już założyli obóz jeniecki i tam był też szpital. Siostra zaprowadziła mnie do starego już lekarza. Ten odwinął mi bandaż i zaczął coś mówić po francusku. Niemiec zaraz wypisał mi przepustkę i skierowali mnie na oddział. Tam mnie Ruski lekarz operował. Niemiec to jeszcze powiedział: Abschnajden - obciąć, ale Chirurg popatrzył i mówi: O takiej maładoj, jeszcze będzie z niego chłop. Uśpili mnie i tak mi dobrze zrobił, że sam się dziwię, bo same drzazgi były przecież. Pozszywali, pozszywali. I było w porządku. To jeszcze pamiętam jaki sen miałem pod narkozą, a przecież takich rzeczy nie pamięta się. Śniło mi się, że jestem na zabawie w szkole i ze swoją sympatią tańczą a ona za palec mnie ściska, gdzie mi obcinali kość - widocznie mówiła pod narkozą, bo śmieli się jak się obudziłem a chirurg spytał się ze śmiechem: A kak twaja dziewczuszka żywiotsia?

To chyba że dwa razy jeszcze tam chodziłem na zmianę opatrunku. Mama mi wtedy napchała troszeczkę słoniny, bo mnie nie kontrolowali, bo gówniarz przecież taki. Potem jak szwy zostały wy-

ję to Niemiec przychodził do na co trzy dni. Zawsze dostał kostkę masła, to co innego.

Już wtedy nauczyłem się palić papierosy. Lewą ręką tak skręcałem szybko skręty, że śmiech. A to wszystko przez to, że ojciec chrestny miał sklepe przed wojną. Był masarzem. Wędliny robił. To my zawsze z Marianem w piątek szliśmy do niego do kręcenia we dwójkę maszynką do kręcenia mięsa. On z jednej strony a ja z drugiej strony To zawsze kaszanki ciepłej się najemy czy kiełbasym. Kto tam patrzył postu. Jak jest to się je a jak nie ma to się pości.

W czasie wakacji to nie było co robić. Samopały sobie zrobiliśmy więc. ja u ojca w warsztacie znalazłem lufę od pistoletu skłakowego. Zrobiliśmy z tego samopał i chodziliśmy na sznaki z nim. Strzelaliśmy do nich. Palić się nauczyłem się właśnie u Mariana, bo jego rodzice mieli sklep. Pamiętam pierwsze sztachnięcie - jak zaciągnąłem się to myślałem, że przewrócę się. Ciemno w oczach mi się zrobiło.

Początkowo za "demokraty" tam Marian był w milicji w Choroszczy. Razem z nim był Raczkowski Stanisław i jeszcze ktoś trzeci. I chyba właśnie jak się "Gołąb" rozbroił ten posterunek to oni poszli z "Gołąbkiem". We trzech. Ostapczuk też był z Choroszczy i był na tym posterunku.

Jak ja wróciłem z Prus 9 maja to w tym czasie w Białymstoku więzienie rozbili. Spałem wtedy w kuchni na leżance przy oknie gdy stuka ktoś w okno. Tej samej nocy co ja wróciłem. kto tam? - Lodzia jest? - Jest. To co chcesz zawołać? - Tak, tak. - Okazało się, że to siostry kolega. Razem w czasie okupacji byli w organizacji. Był aresztowany i siedział w tym więzieniu. Nie pamiętam tylko jego pseudonimu. Sam jeden był. Zaraz go nakarmili. Ja tam nie chciałem przeszkadzać i wyszedłem do innego pokoju. Siostra

odprowadziła go gdzieś. Był w cywilu bo wtedy w więzieniu nie dawali jeszcze więziennych ubrań.

Niedługo po tym posterunku, czy może przed, wystrzelano rodzinę Popków w Kościukach. "Młot" i "Gryf" byli tam. To byli Białorusini, komuniści. Marian też tam był.

Ja to miałem takie szczęście, że chyba nikog nie zabiłem w czasie tej mojej partyzantki. Nie chodziłem wykonywać żadnych yroków, chyba. żeby konus w tyłek dać. Do "Burego" poszedłem, bo "Gryf" wysłał mnie na szkołę do niego. Wielu chłopaków jak ja poszło tam na przeszkolenie. Nie byłem ścigany przez UB i MO jak wielu innych którzy w związku z tym musieli iść do lasu. Ja poszedłem tam na rozkaz.

Przed pójściem do oddziału to zbieraliśmy się u "Lota" żony. Ona wtedy jeszcze panną była. Śpiewaliśmy piosenki i nikt nie myślał o wódce.

Jak chodziłem z "Dziadkiem" to "Dziadek" często brał od ludzi pieniądze. Czasami straszył a czasami były dawane po dobroci. Nawet swojego kuzyna skzbnął. Nie miał żadnych takich skrupułów. Zawsze on takie sprawy zaklatiwał i rozmawiał. Oczywiście jednak najczęściej braliśmy od takich do których w nie mieliśmy zaufania, którzy byli dla nas w jakiś sposób podejrzani. O tym dowiadaliśmy się od innych ludzi.

Jak dołączyłem do oddziałku ~~xxxxx~~ "Dziadka" to chodziliśmy już tylko na białostockim. Nie wiem dlaczego nie pojawialiśmy się na wysokomazowieckim. Bał się czegoś, albo "Wiarusa" albo co. Bo ile razy zaczyna się rozmowa na temat "Wiarusa" to zawsze mówił: Zostawmy ten temat.

Kudryccy jak przyjechali do Polski to dostali po Białorusinach mieszkanie. Bronka to była moja sympatia. Wpadli tu jak w gniazdo szerszeni d bo dookoła na kolonii to byli Białorusini.

Z Żółtek też sporo powyjeżdżało do Rosji. Chyba z 10 rodzin.
Bali się.

Spisał w listopadzie Jerzy Kułak.